

Gail Ranstrom  
Obcy mężczyzna

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Litchfield, Hampshire, 21 maja 1814

Chloe Faraday, chwyciwszy kurczowo rękaw fraka George'a, spojrzała w jego oczy dokładnie tak samo zielone, jak jej własne. Jakby spojrzała w lustro.

- Jestem na dnie rozpaczy, George. Ojczym w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Jest głuchy na moje błagania, a wczoraj wieczorem znów mnie ukarał! Och, George! Komu w końcu mam zaufać, jak nie tobie, własnemu bratu? Musisz mi pomóc!

- Droga Chloe... - Brat czule pogłaskał siostrę po rękę. - Nie dziwię ci się, że jesteś zdenerwowana. Przed ślubem wszystkie panny mają wapory, mało która podchodzi do tego spokojnie.

- Ale ja nie jestem rozpieszczoną, bojaźliwą panienką, skłoną do hysterii! Dobrze o tym wiesz! Naprawdę jestem zrozpaczona. Przez dwa lata jakoś udawało mi się ignorować fakt, że przyrzeczono mnie obcemu człowiekowi. Co innego jednak teraz, kiedy uzmysłowiłam sobie, że za tydzień rzeczywiście zostanę jego żoną! A ja nie mogę tego zrobić, nie potrafię! Ja...

- Cicho, cicho, kociątko. Nie ma powodu do niepokoju. Anthony Chandler jest moim kolegą ze szkolnej ławy, znam go od lat. To przyzwoity, rozsądny człowiek, bardzo zrównoważony, nie ulegający chwilowym namiętnościom. Zawsze mi imponował.

A sam George, niestety, był znanym żartownisiem, trudno więc było dać wiarę jego słowom. Chloe westchnęła i wolnym krokiem podeszła do okna, za którym wiosna szykowałą się do pełnego rozkwitu. Zielone listki na drzewach i pąki były jeszcze stulone, ale już niebawem, gdy słońce przygrzeje, drzewa obsypią się kwieciami. Właśnie wtedy, gdy Chloe

będzie kroczyć środkiem kościoła, aby połączyć swe życie z życiem obcego człowieka. Och, nie!

- George!

Odwróciła się od okna i spojrzała na brata rozplamionym wzrokiem.

- Proszę, tylko nie mów mi teraz żadnych frazesów. To bezcelowe. Powiedziałam ci, jestem zdesperowana i jeśli ty mi nie pomożesz, zmuszona będę sama przedsięwziąć jakieś kroki.

Zrobię coś, czego prawdopodobnie będę potem żałowała. Ale zrobię. Ucieknę albo...

- Przestań, Chloe! Lepiej powiedz, skąd u ciebie taka niechęć do małżeństwa? Przecież jesteś zaręczona z Chandlerem od dwóch lat. A teraz raptem stajesz okoniem...

- Tak, teraz! Bo w ciągu tych dwóch lat mogło się jeszcze wiele wydarzyć. Na przykład... na przykład gdyby on z tej wojny nie powrócił, ogłosiłabym, że mam złamane serce i nie wyobrażam sobie, żebym mogła wyjść za kogoś innego. W tym stanie trwałabym do chwili osiągnięcia wieku, w którym kobiety nie wychodzą już za mąż. Dzięki temu miałabym spokój, mogłabym naprawdę cieszyć się sezonami w Londynie. Żadnych nadskakujących kawalerów ani matron, cmokających na mój widok z dezaprobatą, że jak to? To ona jeszcze nie wyszła za mąż?!

Wielkie nieba! Powiedziała to na głos! Dlatego teraz policzki zapiekły ją ze wstydu. Czy ona naprawdę jest tak płytka i samolubna, jak jej słowa?

Ale brnęła dalej.

- Niestety, dwa tygodnie temu ojczym otrzymał ten okropny list. Kapitan Chandler powiadomił o swoim powrocie do Anglii i o tym, że dał już na zapowiedzi w swoim kościele parafialnym. Prosił ojczyma, żeby zrobił to samo. I przez ostatnie trzy niedziele, kiedy czytali te zapowiedzi, aż

kurczyłam się w sobie. Teraz w całym domu zamęt, służba pucuje każdy cal kwadratowy na powitanie kapitana. A ja... ja przecież wcale nie zamierzam wychodzić za mąż! Za nikogo!

- Trudno, Chloe. Udało ci się mieć jeszcze dwa lata wolności, ale teraz musisz ponieść konsekwencje!

- Jakie konsekwencje?! I dlaczego, George? Dlaczego mam wyjść za mąż za obcego człowieka, który nie raczył jeszcze pokazać mi się na oczy?

Brat wzruszył ramionami.

- Widocznie zabrakło mu czasu. Po powrocie do Anglii najpierw musiał pojechać do siebie, dać na zapowiedzi w kościele parafialnym i przygotować dom na przyjazd małżonki. A poza tym, kociątko, on już kiedyś pokazał ci się na oczy. I podobno prezentował się bardzo miło. To twoje własne słowa, pamiętasz?

Policzki Chloe znów pokryły się szkarłatem. Boże wielki! Kto by się spodziewał, że niewinne kłamstewko będzie miało takie konsekwencje! Niestety, fakt jest faktem. Kiedy ojczym zapytał ją o kapitana Chandlera, powiedziała, że owszem, pamięta go i że kapitan prezentował się bardzo miło.

- George! To był mój pierwszy sezon w Londynie! Tańczyłam i gawędziłam z tyloma młodymi dżentelmenami, że trudno mi ich było od siebie odróżnić. Ich twarze zlały mi się w jedną całość, nie potrafiłabym dopasować do żadnej z nich właściwego nazwiska. Tym bardziej że tamtej wiosny tyłu z nich nosiło mundury. A kiedy potem ty i ojczym, opowiadając o bohaterskich czynach kapitana Chandlera pod Ciudad Rodrigo, spytaliście mnie, czy go sobie przypominam - skłamałam. Boże! Gdybym wiedziała, że on poprosił o moją rękę! Do głowy by mi nie przyszło udawać, że go pamiętam. A na domiar złego okazało się, że ojczym, nie pytając mnie o zdanie, podpisał dokumenty i przesądził o wszystkim.

- Dziwna historia... Musiałaś wyrzucić na nim piorunujące wrażenie, skoro poprosił o twoją rękę. A jednocześnie ty zupełnie nie możesz go sobie przypomnieć, czyli on na tobie nie wywarł najmniejszego wrażenia! Jakimże więc sposobem doszło do tego wszystkiego?

- Nie mam pojęcia... Byłam bardzo nieroztropna... Po co skłamałam, że go pamiętam?

Głos Chloe drżał, oczy lśniły podejrzeniem. Czowała się okropnie.

- Kiedy ojczym powiedział, że zaręczył mnie z kapitanem Chandlerem, starałam się ze wszystkich sił przypomnieć sobie, jak wygląda mój narzeczony. Niestety. W mojej pamięci pozostał białą plamą. Wszyscy młodzi mężczyźni prezentowali się w swoich mundurach doskonale. Zachowywali się podobnie, przede wszystkim byli podekscytowani rychłym wyjazdem na Półwysep (Półwysep Iberyjski. Akcja opowiadania rozgrywa się w okresie wojen napoleońskich). Nie, ja zupełnie go sobie nie przypominam!

- Szkoda, Chloe, ale cóż... Anthony Chandler zawsze był człowiekiem, który wiedział dokładnie, czego chce i konsekwentnie do tego dążył. Wiem, że tego samego dnia, w którym został ci przedstawiony, dostał rozkaz powrotu do Hiszpanii. Stąd zapewne jego nagła decyzja o oświadczeniach. Przecież podczas jego nieobecności ktoś inny mógł zdobyć twoją rękę.

- Ktoś inny? Ależ, George, przecież ja w ogóle nie chcę wychodzić za mąż. Nigdy! A ten kapitan Chandler, niby tak mną oczarowany, dlaczego przez dwa lata milczał? Dlaczego nie napisał ani jednego listu?

- Ani jednego? Hm... dziwne. A ty, kociątko? Ile razy do niego napisałaś?

- Ja?!

Zacisnęła mocno usta, żeby powstrzymać potok słów, co najmniej jadowitych, i powróciła do swego miejsca przy oknie. Z gałęzi pobliskiego drzewa poderwał się wróbelek. Rozwinął skrzydełka i poszybował ku niebu. Błogosławiona wolność! Niestety - nie dla Chloe! Ona za niecałe dwa tygodnie należeć będzie do obcego człowieka. Będzie dzielić z nim łóżko, będzie musiała pozwolić na te wszystkie... intymne czynności, udając, że czerpie z nich największą przyjemność. Przecież wiedziała, co robią mężowie i żony. Jej przyjaciółka, Marianne, po powrocie z podróży poślubnej napomykała o tym nieraz, połykając przy tym łzy.

Najgorsze jednak było to, że Marianne, jak zresztą i pozostałe zamężne przyjaciółki Chloe, zdane były na łaskę i niełaskę swoich mężów, których prawdziwy charakter poznawały dopiero po ślubie. Owi mężowie w najlepszym przypadku traktowali je chłodno, w najgorszym - byli po prostu okrutni.

Mężczyźni... Chloe doskonale pamiętała, jak ojczym uderzał w konkury do jej matki. Pragnąc pozyskać jej względy, za każdym razem, gdy przychodził z wizytą, przynosił dzieciom słodycze i grał z nimi w różne gry. Chloe i George byli przekonani, że to cudowny człowiek. Ale zaraz po ślubie słodycze i gry skończyły się, jak ręką odjął. A matka większość czasu spędzała w swoim pokoju, zalewając się łzami.

- Braciszku, tu nie chodzi o kapitana Chandlera - odezwała się cichym głosem, nie odwracając się od okna. - Lecz o małżeństwo w ogólności. Nie chcę wychodzić za mąż. Dlatego powtarzam. Jeśli mi nie pomożesz, nie zawaham się przed jakimś desperackim krokiem. Wstąpię do zakonu albo ucieknę... albo postaram się zrujnować swoją reputację.

- Niestety, kociątko! Do zakonu nie wstąpisz, bo nie jesteś katoliczką. Ucieczka na pewno się nie powiedzie. Złapią

cię i zawłoką przed ołtarz. A reputacja... Czy możesz mi zdradzić, jak zamierzasz ją zrujnować?

- Na przykład... przez porwanie. Gdyby coś takiego mi się przytrafiło, dla socjety stałabym się pariasem. Naturalnie, wszyscy bardzo by mi współczuli, ale moja niewinność stanęłaby pod znakiem zapytania. A kapitan Chandler, jak słyszałam, ma wielkie aspiracje polityczne. Jeśli zamierza kiedyś wejść do rządu, powinien ożenić się z kobietą o nieskazitelnej reputacji. Po porwaniu na pewno odejdzie mu ochota na małżeństwo ze mną!

Chloe dumnie uniosła głowę, dając wyraz swej wielkiej determinacji. Brat westchnął. Wiedział dobrze, że jego uparta siostra faktycznie gotowa jest na wszystko, byle tylko nie dać się zaprowadzić przed ołtarz.

- Dobrze, Chloe - odezwał się po chwili milczenia. - Powiedz mi, co tam sobie umyśliłaś, a ja się zastanowię, w czym mógłbym ci być pomocny.

Sir Anthony Chandler - bohater spod Tuluzy, uszlachcony niedawno, dlatego nie za bardzo jeszcze przyzwyczajony do „sir” przed nazwiskiem - poprawił się w krześle i ostrożnie wyciągnął sztywną nogę w stronę kominka. W zaciszu swej biblioteki nie przebywał sam. Popijał sherry w towarzystwie swego przyszłego szwagra, który zjawił się niespodzianie, nie bacząc na mrok i porywisty wiatr. I przywiózł zaskakujące wieści o jego narzeczonej.

- Czuje do tego urazę? - spytał Anthony. - Użyła tego słowa?

George Faraday westchnął i odwróciwszy się od złocistych płomieni, tańczących w kominku, przysiadł na krześle.

- Coś w tym rodzaju... Ale myślę, że to zwyczajne wapory przyszłej panny młodej.

- Powiedz mi szczerze, George. Przysłała cię tutaj, żeby zwrócić mi słowo?

- Nie. Ojczym najsurowiej tego zabronił. Dlatego Chloe wpadła na pewien pomysł, dzięki któremu do waszego ślubu nie dojdzie. Próbowałem ją od tego odwieść, ale bez skutku. Chloe, niestety, taka właśnie jest. Jak wbije sobie coś do głowy, należy traktować to jako fakt dokonany.

- Czy to z powodu moich ran? Ktoś jej o nich powiedział?

- Nie, Tony. Ona o tym nie wie.

- Aha... No cóż... Skoro się uparła, nie pozostaje mi nic innego, jak wycofać się.

- A z tym byłby kłopot. Ojczym absolutnie nie godzi się na zerwanie zaręczyn. Matka też jest przeciwna, wystarczy jej o tym wspomnieć i dostaje ataku hysterii. Boi się, że Chloe będzie napiętnowana na całe życie. Kobiety odtrąconej nikt nie poprosi o rękę. A gdyby nawet, to ojczym zagroził Chloe, że po raz drugi nie będzie gromadził posagu. W każdym razie on absolutnie nie zamierza odstępować od waszej umowy. Niestety, Chloe zdeterminowana jest w tym samym stopniu. Jej nie odstrasza ani brak konkurentów w przyszłości, ani brak posagu. Ona po prostu nie zamierza nigdy wychodzić za mąż.

Anthony milczał, przesuwał bezwiednie palcem po brzegu kryształowego kieliszka. Panna Chloe Faraday... Burza hebanowych loków, ogromne, zielone oczy pełne blasku, zmysłowe usta i gibka postać w białej sukni. Piękny, jasny i niewinny obraz. Miał go zawsze przed oczami. Pomógł mu znieść trudy i okropności wojny, kazał stawić opór, pokonać to, co zdawało się niezwyciężone. Bo przypominał, że warto żyć...

Jeden taniec z panną Faraday. Tylko jeden i już zawładnęła jego sercem. Do tego stopnia, że oświadczył się natychmiast, zanim wyruszył na wojnę. Napisał list do jej ojczyma, nie wierząc w pomyślność. Odpowiedź nadeszła



dość szybko. Do dziś pamiętał, jak drżały mu ręce, kiedy łamał pieczęcie. Pamiętał swoje niedowierzanie po przeczytaniu listu i przeogromną radość. I zaraz potem ruszył na wojnę, unosząc ze sobą w sercu obraz ślicznej panny Chloe Faraday, panny, która miała na niego czekać.

Wśród socjety uchodził za dobrą partię. Był przystojny, miał szerokie koneksje i niezłe widoki na przyszłość. Niestety, teraz w oczach panien na wydaniu przestał być łakomym kąskiem. Koneksje i widoki na przyszłość pozostały, reputacja nawet się polepszyła, ale powierzchowność uległa zasadniczej zmianie. Z powodu ran, jakie odniósł pod Tuluzą, był teraz parodią człowieka, jakim był przedtem...

- Ale ja zwrócę twojej siostrze słowo, George. Nie musi uciekać się do jakichś szalonych pomysłów. Ma wystarczające powody, żeby opierać się temu małżeństwu. Przecież ona właściwie mnie nie zna.

- Gorzej... - George chrząknął. - Wyznała mi, że w ogóle cię nie pamięta.

- W ogóle? - Anthony spojrzał na niego z niedowierzaniem. I krew w nim zawrzała. Fakt odtrącenia z powodu ułomności cielesnych jest bardzo przykry. Ale fakt, że jest się osobą niegodną zapamiętania, budzi gniew.

Jego decyzja uległa raptownej zmianie. Do diaska! A niby dlaczego ta dziewczyna ma nie dotrzymać swoich zobowiązań?!

Postawił kieliszek na stoliku i wstał. Kiedy siedział zbyt długo, chora noga sztywniała. Spojrzał w okno, dokładnie w tej samej chwili granatowe niebo nad sadem przecięła błyskawica. Ponad Chandler Hall przetoczył się grzmot, chłostane porywami wiatru okna zaskrzypiały żałośnie. W szybie, na tle zmierzchu, dojrzał swoje odbicie. Pionowa blizna, przecinająca lewy policzek, nawet w przyćmionym

świetle była doskonale widoczna. Brzydka, czerwona wypukłość. Odstraszy każdą delikatną, wrażliwą damę...

George wstał, wziął kryształową karafkę i napełnił oba kieliszki.

- Jeśli wolno spytać, Tony... Dlaczego ty nigdy nie napisałeś do Chloe?

- W okopach trudno o papier i pióro, George. A w tych rzadkich chwilach wytchnienia naprawdę niełatwo było zebrać myśli. Poza tym... wszystko stało się tak nagle. Oświadczyłem się pod wpływem impulsu. Urzekła mnie uroda twojej siostry, wiedziałem też, że ma dobry charakter. Jest przecież twoją siostrą, dla mnie to wystarczająca rekomendacja. Ale naprawdę nie wiedziałem, o czym do niej napisać, jak wzbudzić w niej zainteresowanie moją osobą.

George ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Chloe też mówiła, że trudno jej było pisać do osoby nieznaney. Próbowałem ją namówić, żeby teraz spotkała się z tobą. Ale nie zgodziła się. Twierdzi, że z takich spóźnionych zalotów i tak nic nie wyniknie, a poza tym ona gardzi małżeństwem, a nie tobą.

Anthony westchnął.

- Postąpiłem pochopnie. A potem niepotrzebnie się łudziłem, że uda mi się porozumieć z twoją siostrą. Chyba łatwiej przychodzi mi władanie szablą.

- Nie tobie jednemu trudno dojść z Chloe do ładu. Jest bardzo uparta, ale tym razem, naprawdę, działa w dobrej wierze. I pozwolę sobie uprzedzić twoje pytanie. Nie była ci niewierna, żaden dandys nie wchodzi tu w grę.

Anthony wzruszył ramionami.

- No cóż... Ślub ma się odbyć za niecałe dwa tygodnie. Głupio teraz wszystko odwoływać. Przykro mi, George, ale obawiam się, że ona będzie musiała przez to przejść.

George uśmiechnął się i podniósł kieliszek.

- A więc porozmawiajmy o tym, co umyśliła sobie Chloe. Mam pewien pomysł. Ty, Anthony, zdecydujesz, czy warto ryzykować.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ciężkie, burzowe chmury zakryły księżyc. Złowroga ciemność za oknem rozbudzała jeszcze bardziej wyobraźnię Chloe, i tak już rozpaloną i bardzo niespokojną. Najbliższa przyszłość wcale nie jawiła się pociągająco, na zmianę decyzji było jednak za późno. Klamka zapadła w chwili, gdy George najął powóz, także gajowego, u którego Chloe miała się ukryć. Teraz George zajęty był fabrykowaniem śladów porwania i kiedy wstanie nowy dzień, rozjuszony ojczym wyruszy na poszukiwanie bandy Cyganów, tudzież będzie ścigał bezlitośnie każdego napotkanego włóczęgę.

Noc była nadszpiewanie zimna. Chloe objęła się ramionami i wtuliła plecy w miękki plusz wyściełanej ławki. Była znużona pełnym emocji dniem, najdłuższym chyba w jej dotychczasowym życiu. Najpierw wiele godzin czekania na zmierzch, potem musiała ukradkiem spakować mały sakwojaż i udawać, że idzie do łóżka, a tak naprawdę wymknąć się z domu i wsiąść do tego powozu. Wszystko to miała już za sobą, teraz mogłaby się trochę zdrzemnąć...

- Stać!

Powóz zatrzymał się gwałtownie. Chloe równie gwałtownie opuściła miękką ławkę i znalazła się na podłodze. Przez półsenną głowę przemknęła trwożliwa myśl: Boże! Czyżby jakiś rabuś?

Ledwo usiadła z powrotem, kiedy drzwi otwarły się nagle i oczom Chloe ukazała się złowroga postać. Wysoki, postawny mężczyzna z twarzą zasłoniętą maską. W rękę trzymał pistolet, wycelowany w Chloe.

- Wysiadać! - huknął. Chwytał Chloe za rękę, a ona zaczęła drżeć jak liść na wietrze. Głos bandyty budził w niej największe przerażenie, choć jednocześnie - dziwne, skąd u niej teraz taka myśl - był to głos niski, pięknie brzmiący, mimo grozy sytuacji bardzo miły dla ucha.

- Ale ja... ja nie mam ze sobą nic cennego - wymamrotała, posłusznie gramoląc się z ławki. Wsiadła. Po długiej jeździe rozkołysanym powozem nogi w zetknięciu ze stabilnym gruntem odmówiły posłuszeństwa. Zachwiała się, ale mężczyzna w masce chwycił ją mocno pod ramię.

- Gdzie twój sakwojaż? - Kufer? - spytał.

Wskazała głową na powóz. Rabuś skinął głową, wtedy posłusznie wyjęła z powozu swój niewielki sakwojaż i postawiła przed nim. Rabuś ponownie skinął głową, rzucił woźnicy monetę i krzyknął:

- Ruszajcie, dobry człowieku!

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. Konie natychmiast ruszyły z kopyta. Powóz oddalał się gościńcem, a Chloe, odprowadzającej go wzrokiem, udało się w końcu nadać tej scenie jakiś sens. Przede wszystkim nie było powodu do obaw. Ten człowiek to żaden rabuś, tylko najęty przez George'a gajowy, który doskonale spisuje się w roli porywacza. A teraz trzeba jak najszybciej stąd umknąć, zanim nadjedzie jakiś inny powóz.

Chwyciła za sakwojaż i zrobiła szybko w tył zwrot, niestety, gajowy w tym samym momencie zaszedł ją od tyłu. W rezultacie sakwojaż gwałtownie zetknął się z jego lewym udem i zza maski dobiegło stłumione przekleństwo.

- A niech to szlag...

Chloe, przerażona, natychmiast zerwała się do ucieczki. Nie odbiegła jednak dalej niż dwa kroki, ponieważ silne ramię pochwyciło ją w pól i przyciągnęło do twardej męskiej piersi.

- Niech pani niczego nie utrudnia, panno Faraday! Przed nami długa droga!

Próbowała usilnie zmusić swoje serce, by przestało bić jak szalone. Bo ten mężczyzna...

Nie, on wcale nie sprawiał wrażenia kogoś ze służby. Ciekawe, gdzie George znalazł takiego gajowego...

Mężczyzna krótko poinstruował ją, że ma z powrotem postawić sakwojaż na ziemi. Potem wskoczył na siodło - ten koń pojawił się nagle, jakby wyrósł spod ziemi. Chloe jednym ruchem została umieszczona w siodle, tuż przed nim. Na koniec gajowy pochylił się, zgarnął z ziemi sakwojaż i umieścił go na podołku Chloe.

A potem koń ruszył przed siebie dzikim galopem.

Lewa noga Anthony'ego bolała, jakby trawił ją żywy ogień. Ta głupia pannica, wyrznawszy go sakwojażem w udo, omal nie powaliła go na kolana. Teraz znów zdolna jest go powalić, chociaż w całkiem inny sposób, bo swoim zapachem. Subtelna woń konwalii i łąki na wiosnę burzyła w nim krew, a miękkie, ciepłe pośladki, usadowione w rozwidleniu jego nóg, tuż przed bardzo intymną częścią ciała, po prostu groziły odebraniem mu rozumu. Tym bardziej że pośladki te poruszały się rytmicznie, zgodnie z tym, jak poruszał się grzbiet galopującego konia. A droga do małego domu na skraju posiadłości była jeszcze daleka...

- Proszę pana... - odezwała się panna Faraday cichym, niepewnym głosem. - Dokąd mnie pan wiezie?

- Tam, dokąd kazał zawieźć panią Faraday. Do mojego domu, stojącego na uboczu, gdzie nikt pani nie odnajdzie. O to przecież pani chodziło, prawda?

- Tak. A czy pan... pan często podejmuje się tego rodzaju zadań?

- Zdarzało się... a ostatnio to nawet dosyć często - rzucił niedbale. Kłamał tylko po części. Porywanie żołnierzy wroga dla okupu było jednym z zadań, jakie przez ostatnie cztery lata wykonywał dla króla. Pozostałe zajęcia były jeszcze bardziej niewdzięczne.

- Czy płacą panu za to godziwie?

Aż zakrztusił się ze zdziwienia. Ależ ta pannica jest wścibska!

- Tak sobie.
- To po co pan to robi? Nie lepiej zająć się czymś innym?
- Bo ja wiem... Pewnie tak... Może jestem łasy na pieniądze?
- A ile pan dostanie za mnie?
- Faraday powiedział, że na początek pięć tysięcy funtów. Jak pani sądzi, czy pani ojciec tyle zapłaci?
- Nie ojciec, a ojczym. On jest bardzo chytry, podejrzewam, że będzie pan musiał zadowolić się o wiele mniejszą kwotą... Proszę pana, a jak pan się nazywa?
- Ja?

Zastanowił się przez chwilę.

- Rush. Nazywam się Rush.( Rush (ang.) - pędzić, mknąć.)

To nazwisko pasowało do sytuacji jak ulał. Mknąć tam, gdzie aniołowie boją się stapać...

- A jak panu na imię?
- Rush - powtórzył z uśmiechem. - Tylko Rush.
- Aha... Czyli to nie jest pańskie prawdziwe nazwisko.
- Naturalnie, że nie. Chyba nie spodziewała się pani, że je wyjawię, tak samo jak nie wyjawię prawdziwego miejsca mojego zamieszkania. Bo to nie jest spotkanie towarzyskie, panno Faraday, tylko interes. Między mną a pani bratem.
- Za pozwoleniem, drogi panie! Najęliśmy pana wspólnie, ja i brat!

- Nie, panno Faraday! I proszę nie liczyć na to, że będę pani pokojówką. Pani brat zresztą sam powiedział, że powinna pani przy okazji nauczyć się sama zadbać o siebie, a dokładniej: nauczyć się, jak zapracować na swój chleb.

Sądząc po odgłosach, jakie wydała z siebie panna Faraday, brat jej o tym nie powiadomił. Anthony natomiast poczuł coś na kształt rozczarowania. Przez dwa lata stawiał pannę Faraday na piedestale, uważając ją za ideał kobiecości i wzór

wszelkich cnót. Tymczasem rzeczywistość okazała się całkiem inna. Owa panna była władcza, wymagająca i prawdopodobnie jeszcze przed upływem następnego dnia Anthony nie będzie czuł do niej cienia sympatii. Jednocześnie była istotą nadzwyczaj powabną. O, tak! A on od dwóch lat nie był blisko z żadną kobietą. Czy zdoła utrzymać przy sobie ręce? Bo choć spotkanie z panną Faraday gorzkie było jak piołun, ciągnęło go do niej jak diabli. Stanowczo za bardzo!

Nikłe żółtawe światło padające z niewielkich, podzielonych słupkami okien rozjaśniało nieco mrok, dzięki czemu Chloe mogła dojrzeć ogólne zarysy niewielkiego domostwa wśród drzew porastających gęsto dolinę. Z jednej strony domu, za ogrodzeniem, przechadzały się po zielonej trawie dwie krowy, koza, widać było też coś, co wyglądało jak kurnik.

Gajowy zatrzymał konia na dróżce wiodącej do drzwi i zeskoczył z siodła. Chloe usłyszała, jak jęknął i w pierwszej chwili zdziwiło ją to, ale gdy zobaczyła, że wyraźnie utyka na jedną nogę, pomyślała, że prawdopodobnie zeszywniała mu, bo to chyba człowiek już niemłody, starszy niż można by sądzić po prostych plecach czy sile rąk, które podczas ich konnej jazdy trzymały ją bardzo mocno.

Jedna z tych rąk chwyciła teraz za sakwojaż, druga objęła Chloe w pól i zestawiała na ziemię.

- Proszę wejść do środka, panno Faraday. Odprowadzę konie i zaraz tam przyjdę.

- To pan... pan ma zamiar tu zostać?!

Nie odezwał się, tylko odszedł, uśmiechając się pod nosem i potrząsając głową. Zauważyła, że zdjął z twarzy maskę, ale głowy nie odwrócił. Cóż za osobliwy człowiek! Trudno się jednak temu dziwić, skoro mieszka w tak odludnym miejscu.



Podniosła z ziemi sakwojaż, przeszła jeszcze kawałek po wyłożonej kamiennymi płytami drodze i otworzywszy drzwi, z ciekawością zajrzała do nieznanego wnętrza. Zobaczyła kominek, przed kominkiem dwa brązowe, obite skórą fotele i podnózek, również obity skórą, przed nimi sofa. Pod przeciwległą ścianą drugi kominek, ceglany, pełniący rolę pieca kuchennego. Obok duży stół, dwa krzesła, kontuar ze zlewem, pompa i kubły na odpadki. Wszystko blisko siebie, czyli ten kąt był czymś w rodzaju kuchni.

Postawiła sakwojaż na podłodze z desek, wyświeconych ze starości, po czym zdjęła kapelusz, pelisę i jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Przez drzwi w przeciwległej ścianie wychodzi się zapewne do ogrodu na tyłach domu, gdzieś tam musi być wygodka. Drzwi koło kuchennego pieca wiodą do pokoju, który pewnie ma tymczasowo zająć. A po drabinie, ustawionej po drugiej stronie kuchennego pieca, wchodzi się na strych, gdzie zapewne gajowy ma swoją sypialnię.

I w tym oto domku na odludziu zamieszka teraz panna Faraday, a jedynym współmieszkańcem będzie osoba płci męskiej. Skandal! Wystarczy na zrujnowanie reputacji. Chociaż Chloe nie wyobrażała sobie, żeby z tym mężczyzną mogła uczynić coś zdrożnego. Przecież to tylko gajowy, a do tego bardzo niesympatyczny.

Wzięła ze stołu świeczkę, zapaliła od ognia w kominku i wetknęła do lichtarza. Potem napompowała wody do pustego kociołka i postawiła go na ogniu. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie wdzięczna ojczymowi za zmuszanie jej do pracy w kuchni. Był to jego ulubiony sposób upokarzania pasierbicy - darmozjada, dzięki temu jednak Chloe wiedziała, jak zagotować wodę i będzie mogła w ciepłej wodzie zmyć z siebie brud po tej okropnej galopadzie. A potem czyściutka i świeżutka wskoczy do łóżka, prosząc Pana Boga o słodkie

sny, także o pomoc w szybkim rozwiązaniu życiowych dylematów.

W małym pokoju, tak jak podejrzewała Chloe, była umywalka, dzbanek i miednica, na kołeczku wisiały czyste ręczniki. Nalała gorącej wody do miednicy i odniosła kociołek do kuchni. Do pokoiku wróciła z sakwojażem i pelisą. Rzuciła je na łóżko, na pierzynę w spranej ciemnozielonej poszwie, zsunęła z nóg trzewiki i rozebrała się do koszuli. Umyła się wonnym francuskim mydełkiem, które leżało w mydelniczce, a wytarła się ręcznikiem pachnącym wiosennym wiatrem.

Anthony wcale nie był zaskoczony ciszą, panującą w całym domu. Panna Faraday, kiedy zestawił ją z konia na ziemię, słała się ze zmęczenia. Cisza świadczyła o tym, że odnalazła drogę do lokum, przysposobionego dla niej i prawdopodobnie zmorzył już ją sen. A oni, czyli Anthony i służący Barnes, napracowali się solidnie. Podzielili strych na dwie części, w jednym końcu urządzili sypialnię, w drugim bawialnię. Na strychu dama będzie miała więcej prywatności niż na dole, poza tym dobre światło do szycia i czytania o każdej porze dnia, a to dzięki czterem mansardowym oknom, wychodzącym na wszystkie cztery strony świata.

Nad kociołkiem unosiła się para, co z kolei oznaczało, że panna Faraday zagrzała sobie wody do mycia i trochę tej wody zostawiła dla niego. Świetnie. On też się umyje, po czym natychmiast uda się na spoczynek. Spojrzał na drabinę. Miał nadzieję, że panna Faraday na dole dziś już się nie pojawi. To osoba o zdecydowanie trudnym charakterze. Wścibska, władcza i uparta. George w niczym nie przesadził, wyliczając wady kochanej siostry.

Zdjął żakiet i powiesił go na oparciu krzesła. Umył się pobieżnie w kuchennym zlewie. Ogoli się jutro, dziś jeszcze tylko coś na ząb i do łóżka.

Ukroił sobie porządną pajdę chleba, gruby plaster żółtego sera i położył je na talerzu. Jabłko ze spiżarni wzbogaciło menu, a na stoliku nocnym przy łóżku czekał „Żywot Nelsona” (The Life of Horatio, Lord Nelson” - biografia lorda Nelsona pióra Roberta Southeya, do dziś uznawana za dzieło bardzo cenne i wzorową biografię. I wydanie ukazało się w 1813r.). Rana w nodze rwała. Anthony nie mógł się doczekać, kiedy wyciągnie się na łóżku.

Otworzył drzwi, przekroczył próg i nagle zamienił się w słup soli. Przed umywalką, odwrócona plecami, stała panna Chloe Faraday. Odziana skąpo, tylko w białą nocną koszulę, ozdobioną wąziutkimi koronkami. Przeźroczysta koszula, owszem, okrywała ciało, ukrywając jednak bardzo niewiele. Kształty, kolor skóry, zarys smukłych łydek - wszystko to było doskonale widoczne.

Czegoś bardziej zmysłowego Anthony w życiu nie widział. Dlatego teraz wrósł w ten próg i tylko patrzył. Widział, jak Chloe podnosi ręce, zaczyna wyjmować szpilki z włosów i jej plecy okrywają się długimi pasmami czarnych wijących się włosów. Potem pochyła się nad miednicą, nabiera wody w dłonie i myje sobie twarz. A pod przeźroczystą materią widać dwa różowe pośladki...

Ciało Anthony'ego natychmiast stanęło w ogniu. Wielki Boże! On o czymś takim marzył przez bite dwa lata! Teraz spełnienie tych marzeń jest w zasięgu ręki. Wystarczy chwycić pannę wpół i rzucić na łóżko.

Jednak udało mu się oprzeć pokusie, choć z wielkim trudem, dlatego wolał nie przeciągać struny. I kiedy panna Faraday wyprostowała się i ukryła twarz w ręczniku, ostatecznie poniechał myśli lubieżnych, chrząknął i odezwał się ironicznym tonem:

- Cieszę się, że czuje się tu pani jak u siebie w domu.

Panna Faraday podskoczyła, spojrzała na niego oczami okrągłymi jak spodki i zareagowała błyskawicznie. Cisnęła w niego ręcznikiem. Anthony złapał go odruchowo, wypuszczając jednocześnie talerz z rąk. Panna Faraday natomiast wykonała skok w kierunku łóżka, chwyciła rzuconą na pierzynę suknię i przycisnęła ją do łona. W tym samym czasie talerz upadł na podłogę, zaścielając ją kawałkami fajansu.

Przeraźliwy krzyk panny Faraday odbił się szerokim echem po całej dolinie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mężczyzna, który nagle ukazał się w drzwiach, miał wygląd po prostu dziki. Duże, brązowe oczy łypały groźnie spod ciemnych gęstych brwi. Lewy policzek szpeciła straszliwa blizna, biegnąca od szczęki aż do kości policzkowej. Rosła postać emanowała siłą, co skłoniło Chloe do cofnięcia się o krok i oparcia się plecami o umywalkę. Ale ten człowiek wcale nie musiał uciekać się do użycia siły. Powalał ją samym spojrzeniem.

Porwała suknię z łóżka i przycisnęła ją do łona.

- Co... co pan robi w moim pokoju?

- Pani raczy wybaczyć, panno Faraday. Ale to jest mój pokój!

Ten głos... Wielkie nieba! Toż to gajowy! Ale jakże miała go rozpoznać, skoro przedtem twarz zasłonięta była maską!

- Pański pokój?! Przecież to jedyny pokój w tym domu...

- Pani pokój jest na piętrze, panno Faraday.

- Czyli... na strychu?! Mam wchodzić tam po drabinie?

- Tak. A można tam się dostać inaczej?! Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyłem!

Niestety, Chloe nie była teraz w stanie docenić jego poczucia humoru. O ile w ogóle miał być to dowcip.

- Pan zna ten dom lepiej ode mnie, panie Rush - rzuciła oschłym tonem. - I ja mam wielką prośbę. Czy na czas mego pobytu tutaj nie moglibyśmy się zamienić pokojami?

- Niestety, nie. Na strychu wszystko zostało już przygotowane na pani przyjazd. Poza tym. nie muszę chyba tłumaczyć, że to dla pani najlepsze miejsce na wypadek, gdyby pojawili się tu jacyś obcy albo przedstawiciele władzy.

- Przedstawiciele? Władzy? Chwileczkę! Przecież to nie jest prawdziwe porwanie!

Gajowy uśmiechnął się. Mięśnie w lewym policzku drgnęły nienaturalnie. Nie, to nie był miły widok.

- Ale ojczyym pani o tym nie wie. Sądzi pani, że nie zwróci się do kogoś o pomoc?

- Ja... ja w ogóle o tym nie pomyślałam!

- Obawiam się, że nie tylko to umknęło pani uwagi! Ale chciałbym panią nieco uspokoić. Zastosowałem pewne środki ostrożności. Po prostu nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Nawet pani brat.

Nikt?! Niestety, wcale nie zabrzmiało to uspokajająco. Sama, na odludziu, i nikt, dosłownie nikt nie wie, gdzie ona jest! Jak George mógł się na to zgodzić?

- Ale... - ciągnął Rush - musimy się jakoś zabezpieczyć na wypadek, gdyby ktoś tu się zjawił. Trzeba wymyślić jakąś historyjkę. Po prostu skłamać. Na przykład, że wzięliśmy ślub albo coś w tym rodzaju.

Chloe spojrzała na niego osłupiałym wzrokiem i usiadła. Gdyby gajowy nie miał tej straszliwej blizny, prezentowałby się całkiem, całkiem. Sylwetkę miał zdecydowanie lepszą niż większość londyńskich kawalerów, poza tym jeszcze inne atuty. Piękne, kasztanowe włosy, wijące się nad karkiem, oczy duże, spojrzenie bystre, co świadczyło o inteligencji. Ale, na litość boską! Przecież to tylko gajowy! Prostack!

- Żadna kłamliwa historyjka nie jest nam potrzebna - rzuciła szorstko. - I tak mnie nie znajdą. Umiem się schować. A teraz, jeśli wolno, mam do pana jeszcze jedną prośbę. Czy byłby pan łaskaw zanieść na górę mój sakwojaż?

Na pełnych ustach gajowego pojawił się szyderczy uśmiezek.

- Obawiam się, że nie będę mógł tego zrobić, panno Faraday. Musi pani poradzić sobie sama. A ja odwrócę się plecami.

Tak też uczynił. Chloe błyskawicznie zebrała swoje rzeczy i wepchnęła do sakwojaża. Kiedy szła do drzwi, gajowy elegancko przemieścił się nieco, aby rzeczywiście cały czas

być do niej odwrócony plecami. Popędziła do drabiny i wspięła się po niej jak najszybciej, jedną ręką chwytając się za szczeble, w drugiej dzierżąc rozchybotany sakwojaż i modląc się w duchu, żeby gajowy, choć to tylko gajowy, okazał się jednak dżentelmenem i nie podglądał jej z dołu.

Następnego ranka Anthony naparzył w imbryku mocnej herbaty. Był to luksus, na jaki w okopach na Półwyspie ani razu nie mógł sobie pozwolić. Dlatego teraz, wyjmując naczynia z kredensu, z lubością wciągał w nozdrza cudowny, delikatny aromat. Czy on kiedykolwiek do tego przywyknie? Do świeżo naparzonej herbaty, do śmietanki, masła, cukru, warzyw i mięsa, które nie było przechowywane w kadziach z solą albo solanką? Chyba nie przywyknie, zawsze będzie traktował je jak dar niebios.

Cichy odgłos kroków, dobiegający z góry, świadczył, że panna Faraday już wstała. Anthony zamieszał w garnku z owsianką i rozlał ją do dwóch talerzy. Ustawił na stole cukiernicę i dzbanuszek ze śmietanką. W drodze powrotnej z wygodki narwał fiołków i konwalii, ułożył z nich całkiem zgrabny bukiet i wsadził do filiżanki, umieszczonej na środku stołu. Miał nadzieję, że dzięki tej małej dekoracji panna Faraday poczuje się bardziej swobodnie.

Kiedy usłyszał szuranie trzewików o szczeble, ] odwrócił się i spojrzał na drabinę. Panna Faraday schodziła na dół, do drabiny przodem, wobec czego najbardziej rzucającą się teraz w oczy częścią ciała była część tylna, wypięta i cudownie okrągła. Aż prosiło się, żeby ją pogłaskać. Naturalnie, nie uczynił tego, z obawy przed konsekwencjami. Dziwne, że on, kiedy stawał twarzą w twarz z armią wroga, czuł mniejszy lęk niż przed panną Faraday.

Odwrócił się i zakrzętnął znów przy stole. Po chwili usłyszał głośne chrząknięcie. Panna Faraday dała znać o

swoim przybyciu. Znow się więc odwrócił i uprzejmie skinął głową.

- Ja również pana witam, panie Rush - rzuciła z przyganą.

Bo on się nie odezwał! Ależ to złośliwa jędba! Czy ona zawsze gryzie rękę, która zamierza ją nakarmić?!

- Jak się pani spało, panno Faraday?

- Łóżko jest całkiem wygodne - przyznała, sadowiąc się za stołem. - Ale co najmniej przez pół nocy nie zmrużyłam oka.

- Z jakiegoż to powodu, jeśli wolno spytać?

- Rozmyślałam - wyznała szczerze. - Żałuję, że postąpiłam pochopnie. I wpadłam na tak nieszczęśliwy pomysł. Bo w rezultacie jestem tu sama, tylko z panem, a moja matka na pewno odchodzi od zmysłów. Powinnam wrócić do domu.

- Za późno na wyrzuty sumienia, panno Faraday. Kości zostały rzucone!

Panna Faraday, nadal zamyślona, zanurzyła łyżkę w owsiance. Nagle drgnęła, prawie spazmatycznie.

- Nie! Ja wyobrażałam to sobie zupełnie inaczej!

- A jak? Że będzie to taki niewinny figiel? Spędzi pani miło dwa tygodnie w jakimś wiejskim ustroniu, wprowadzając tym niewielkie zamieszanie wśród rodziny i przyjaciół?

Spojrzała na niego tak posępnie, że prawie zrobiło mu się jej żal.

- Przede wszystkim chciałam zaskoczyć mojego narzeczonego.

- Zmusić go, żeby zwrócił pani słowo?

- Tak.

Anthony zasiadł do stołu i natychmiast zaczął energicznie jeść owsiankę, pragnąc usprawiedliwić tym swoje chwilowe milczenie. A on musiał coś w duchu przetrwać. W końcu owym narzeczoną był on sam, nikt inny. Niechcianym



narzeczonym. Jakby na to nie patrzeć, jest to sytuacja bardzo niemiła. Więcej - zaczynała go złościć.

- On... on jest dla mnie całkowicie obcym człowiekiem - mruknęła panna Faraday po dłuższej chwili.

Czy nie mogła znaleźć lepszego usprawiedliwienia?

- Nie będzie pani pierwszą kobietą na świecie, która wychodzi za obcego człowieka. Czy umowa została sporządzona bez pani zgody?

- Nie... Właściwie nie...

Zerknęła na niego znad talerza. A jemu złość przeszła, jak ręką odjął. Bo tyle było smutku w tych zielonych oczach... Bezmiar smutku, budzący pierwotne pragnienia. Żądze posiadania. I obrony tego, co się ma.

Wcale nie był zadowolony, że Chloe wzbudza w nim takie właśnie uczucia. Dlatego rzucił oschłym tonem:

- W takim razie nie ma pani powodu się uskarżać!

Ręka panny, trzymająca łyżkę, opadła.

- To sytuacja bardzo delikatna, panie Rush. Nie sądzę, żeby pan ją zrozumiał.

A teraz to naprawdę posunęła się za daleko.

- Dlatego, że jestem tylko gajowym?

- Nie. Dlatego, że jest pan tylko mężczyzną. Mężczyzną?

Hm... Nie zdawał sobie sprawy,

że coś takiego można komuś zarzucić.

- Tylko? A czymże to zasłużyłem sobie na taką pogardę?

- Pogardę? - powtórzyła panna Faraday, spoglądając na niego z największym zdumieniem. - Nie mam ku temu żadnego powodu, przecież ja pana nie znam. Chodziło mi tylko o to, że mężczyznom trudno pojąć, co czuje kobieta. Jej obawy, złe przeczucia...

- Może i tak, ale z obiecuję pani, panno Faraday, że mężczyźni też coś tam w środku czują. Czy pani w ogóle się zastanawiała, jak przeżywa tę całą sytuację pani narzeczony?

Czy żałuje, że się pani oświadczył, ale honor nakazuje mu dotrzymać słowa? Ale dajmy temu spokój...

Odsunął talerz na bok, wstał i po chwili wrócił do stołu z kartką, piórem i kałamarzem.

- Najlepiej rzecz całą jak najszybciej doprowadzić do końca - oświadczył. Usiadł, ręka z piórem zawisła nad kartką.

- Ile powinienem za panią zażądać?

- Ale ja chcę wracać do domu.

- Za późno, panno Faraday. Proszę mi wierzyć, ja też mam swoje obawy i złe przeczucia, ale oboje zabrnęliśmy za daleko. Poza tym Faraday obiecał, że będę mógł wziąć sobie cały okup. W końcu staram się, jak mogę i zależy mi na dobrym zarobku. Wcale tego nie ukrywam. Gdyby tak nie było, nie wplątywałbym się w taką kabałę.

- To... to może ja panu zapłacę?

- Ma pani odłożone pięć tysięcy funtów?

- Pan raczy żartować! Pięć tysięcy funtów?! Toż to prawdziwy okup za prawdziwe porwanie!

- Trudno, panno Faraday. A poza tym chcę panią przestrzec. Jeśli cała sprawa się wykryje, oskarżą przede wszystkim panią. O co? O oszustwo. Dlatego niech pani poniecha myśli o powrocie do domu i wykaże się cierpliwością, bo na pewno trochę czasu upłynie, zanim pani ojczyń zgromadzi te pieniądze.

Panna Faraday zacisnęła usta w wąziutką kreskę i patrzyła w milczeniu, jak gajowy dużymi, drukowanymi literami pisze list z żądaniem okupu.

- Czyli co, panie Rush? Mam uważać się rzeczywiście za osobę porwaną? Za więźnia?

- Tak, panno Faraday. Sądzę, że tak będzie najlepiej.

Rush, napisawszy list z żądaniem okupu, natychmiast dosiadł konia i ruszył do wioski. Chloe, odprowadzając go smętnym wzrokiem, zastanawiała się w duchu, jak to mogło

się stać, że jej misterny plan całkowicie wymknął jej się z rąk. Urzeczywistniał się sam, wedle własnej woli. Dlatego, mimo przestróg Rusha, musi jak najszybciej wypłatać się z tej żalosalnej sytuacji, nawet jeśli gajowy nadal będzie odmawiał jej pomocy. Zrobi to sama, polegając tylko na swojej własnej inteligencji.

Nie znaczy to, oczywiście, że Rush pozbawiony był inteligencji. Przeciwnie. Pod tym względem bardzo ją zaskoczył. Większość gajowych, z jakimi się zetknęła, byli to ludzie prości, rubaszni, o bardzo mizernej edukacji. Rush był inny. Człowiek, trzymający na nocnym stoliku "Żywot Nelsona", musi mieć w sobie ciekawość, która skłania go do czytania, oraz mądrość, dzięki której pojmuje, co czyta. Owszem, był szorstki, a nawet obcesowy, ale jego manierom nie można było niczego zarzucić. Jednym słowem - był zagadką. Gdzie, u licha, George znalazł takiego człowieka? Nieistotne. Rush może i jest inteligentny, ale nie dorasta jej do pięt. Już ona go przechytry. Z taką samą bowiem desperacją, z jaką uciekała z domu, teraz chce do tego domu powrócić. Dlatego zapamiętała dokładnie, w którą stronę pojechał Rush, tam przecież jest gdzieś jakaś wioska albo miasteczko. Kilka funtów, które ma ze sobą, wystarczy na wynajęcie powozu. Najważniejsze, to poczynić pewne przygotowania, czmychnąć stąd w dogodnym momencie i dotrzeć do wioski.

W siąpiącym deszczu Anthony wjechał na małą polanę. Niestety, polana była pusta, pozostawało tylko czekanie. Czekał więc, powoli nasiąkając wodą. Chora noga zeszywniała z zimna. Zgiął ją parę razy w kolanie, rozprostował.

I westchnął z ulgą, kiedy spoza zielonej kurtyny z liści, pokrytych kropelkami deszczu, ukazał się wreszcie George Faraday.

- Witaj, Tony! - rzucił, zeskakując z konia. - Jak tam twoja noga? Co mówią doktorzy?

- Z czasem utykać będę mniej, ale niestety, nigdy nie pozbędę się całkowicie tej przypadłości.

Tak samo blizn, mimo że zblakną i będą mniej widoczne. Ale ponoć wrócę w pełni do sił. Wierzę w to, bo codziennie czuję się trochę lepiej, i śpiam lepiej. Summa summarum, sądzę, że to godziwa cena za nasze zwycięstwo. Najważniejsze, że nadal oddycham!

George ściągnął rękawiczki i wsunął się pod rozłożyste konary dębu.

- Masz ten list? - spytał półgłosem.

- Tak.

Anthony wyciągnął z kieszeni złożoną we czworo kartkę.

- Proszę. Oto list. Twoja siostra myśli, że pojechałem do wioski, do listonosza. Gdyby wiedziała, że jadę na spotkanie z tobą, na pewno podążyłaby moim śladem. I wiesz co, George? Teraz, kiedy poznałem ją już trochę, będę zdumiony, jeśli wasz ojczym zapłaci za nią okup!

George roześmiał się.

- Już doszedłeś do tej konkluzji?

- Tak. Powinieneś być mnie przestrzec.

- Chyba to uczyniłem.

- Ale rzeczywistość okazała się boleśnieszka.

- Sądzisz, że moja siostra nie jest warta okupu?

Natychmiast stanął mu przed oczyma obraz ślicznej dziewczyny, i do tego w przeźroczyściej koszuli... O, na pewno były tam pewne wartości! Trudno jednak roztrząsać to z jej bratem.

- A co się dzieje u was? - spytał, wekslując rozmowę na bezpieczniejszy temat.

- Porywacz zostawił list, w którym zapewnił, że będzie dbać o Chloe i jej nie tknie. Jeśli będzie się z nim negocjować

w dobrej wierze. To zapewnienie wlało otuchę w serca wszystkich. Także nadzieję, że będzie można dogadać się z porywaczem i odzyskać Chloe.

- Nie podoba mi się, że przysparzam innym zmartwień.

- Naprawdę nie jest tragicznie, Tony. Wystaw sobie, że dzięki temu wydarzeniu matka wreszcie pozbyła się swojej melancholii. Miota się teraz po całym domu i złorzeczy porywaczom, ich matkom i matkom ich matek. A Hubbard... Nie jestem pewien, czy on nie podejrzewa, że za tym wszystkim stoi sama Chloe. Ale pewności nie ma... W każdym razie powiedziałem mu dziś, że jadę na północ spotkać się z tobą i zapytać, czy nadal trwasz przy zamiarze poślubienia Chloe.

- Owszem. Powiedz mu, żeby szykował ceremonię.

- Naprawdę?

- Tak. Nie mam zamiaru niczego odwoływać. W domu czeka mój ojciec, przyjechał z Walii na mój ślub. Nie może się doczekać, kiedy pozna swoją synową. Powiedziałem mu, że wyjeżdżam na krótko, mam coś pilnego do załatwienia. A wystaw sobie, George, że twoja siostra dziś przy śniadaniu wyraziła chęć powrotu do domu...

- Tylko nie to! Wiesz, co się będzie działo? Ojczym złoi jej skórę, potem wydziedziczy nas oboje, a na końcu oskarży ciebie i wymusi na tobie małżeństwo! Niech już ona tutaj siedzi do dnia ślubu. Ale pamiętaj, Chandler, niech tylko nie będzie ci jej żal. Ona od samego początku wiedziała dobrze, co robi!

Żal? Żal tej wyniosłej pannicy?!

- Tego nie musisz się obawiać, George. Powiedz mi, czy Hubbard wszczął poszukiwania Chloe?

- Niestety, tak - przyznał z westchnieniem George. - A tego przecież nie planowaliśmy, miał tylko negocjować z porywaczem. Ale on najpierw najął sforę ogarów, które

podążyły śladem Chloe do rozstaju dróg, gdzie wsiadła do powozu. Potem postawił na nogi miejscowy garnizon. Żołnierze przeczesują całą okolicę wokół Litchfield, zataczając coraz szersze koła.

- Genialny plan twojej siostry doprowadzi do tego, że wszyscy zawiśniemy na stryczku. Rząd tego rodzaju oszustów nie traktuje łaskawie. - Anthony bezradnie potrząsnął głową. - Trudno mi uwierzyć, że dałem się w to wszystko wciągnąć.

- Trudno, stało się. I może gra jest warta świeczki, Chandler?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez otwarte okno wpadał do pokoju upojny zapach bzu. Chloe przeciągnęła się, wsparła wyżej na poduszkach i rozejrzała się po swoim tymczasowym lokum. Kiedy po raz pierwszy weszła po drabinie, była pewna, że czeka tu na nią jakiś siennik, rzucony na surowe deski. A tymczasem, ku swemu zdumieniu, zobaczyła ładne, przytulne wnętrze. Strych bowiem starannie umeblowano, dzieląc go na dwie części. Bawialnię za stolikami i krzesłami, oraz sypialnię, w której królowało łóżko z wysokimi słupkami, mięciutkim piernatem i pięknie haftowaną kołdrą.

Mówiąc szczerze, ten pokój był o wiele wygodniejszy niż jej własny pokój w domu. Tylko to wchodzenie po drabinie było nieco kłopotliwe, ale kiedy zauważyła, że gajowy kuleje, domyśliła się, dlaczego ulokowano ją na strychu. Oczywiście, była bardzo ciekawa, skąd u młodego, rosłego mężczyzny taka przypadłość. Może został ranny podczas polowania?

Zapach bzu ustąpił nagle innemu zapachowi, przyziemnemu, ale jakże nęcącemu. Jajek i boczku. Chloe poczuła, jak ślinka napływa jej do ust. Wskoczyła z łóżka i błyskawicznie przebrała się w jasnozieloną suknię. Jej śniadanie stanowczo nie powinno skończyć w kubie na odpadki! W trakcie ubierania się zaczęła przygotowywać w duchu nowy plan działań. Wczoraj wieczorem zasnęła przed powrotem pana Rusha, nie wiedziała więc, jak załatwił sprawę. Ale w końcu wysłanie listu z wiejskiej poczty nie nastęcza wielkich trudności. Teraz jej zadanie polegać powinno na uśpieniu czujności gajowego i czmychnięciu. Powinna zostawić mu jakieś pieniądze, jako rekompensatę za jego starania. Była zdumiona, że George jeszcze mu nie zapłacił. A może... może zapłacił, tylko Rush, łasy na pieniądze, chce wydobyć od niej dodatkową sumkę?

Posłała łóżko, wyszczotkowała włosy, zgarnęła je do tyłu i przewiązała wstążką. I z twardym postanowieniem, że zachowywać się będzie nadzwyczaj miło, ruszyła po drabinie na dół, z nadzieją, że Rush nie będzie jej obserwował, musiała przecież przyjąć pozę mało wytworną. Na szczęście mężczyzna całą swoją uwagę skupił na talerzu.

- Dzień dobry, panie Rush!
- A... dzień dobry, panno Faraday!
- Wysłał pan list z żądaniem okupu?
- Wszystko poszło jak z płatka.
- Znakomicie.

Nakryte było dla dwóch osób, Chloe zasiadła więc od razu do stołu i nałożyła sobie na talerz jedzenie z półmiska. Jajka smażone były zbyt długo, boczek przypalony. Czyli wczoraj musiała zjeść obrzydliwą owsiankę, a dzisiaj coś, co w niczym nie przypominało jajecznicy na boczku. No cóż, gotowanie nie było mocną stroną Rusha.

Gotowanie... Przecież to znakomity sposób, żeby uśpić jego czujność! Pomyśli, że nie ma zamiaru wracać do domu, a przeciwnie, że pragnie zadomowić się na dłużej w tym miejscu.

- Panie Rush, wspomniał pan kiedyś o zapracowaniu na swój chleb. Nie chciałabym być dla pana tylko ciężarem, dlatego, jeśli pan pozwoli, zajmę się gotowaniem. Z wielką ochotą, bo mówiąc szczerze, trochę tu się nudzę.

- Hm...

Rush spojrzał na nią podejrzliwie.

- Chce pani gotować? Czemu nie... Ale uprzedzam, lubię zjeść śniadanie wczesnym rankiem. Tutaj, w lesie, nie ma żadnych spotkań towarzyskich, przeciągających się do świtu. Dlatego nie ma też zwyczaju wylegiwania się w łóżku do południa.

- Będę wstawać wcześniej, proszę pana.



- A gotowała pani już kiedyś?

- Nie. Ale nie sędzę, żeby sprawiło mi to wielką trudność - oświadczyła i wielce zadowolona z siebie, zabrała się ochoczo do jedzenia. Jajecznica, o dziwo, wcale nie okazała się taka zła, i Chloe, rozpogodzona, poczuła się skłonna do dalszej konwersacji.

- Panie Rush? Kiedy spodziewa się pan odpowiedzi na swój list?

- Jutro albo pojutrze...

- Tak prędko? Byłam pewna, że to trochę potrwa.

- Domyślam się. Byłoby to zgodne z pani oczekiwaniami. Ale innym może zależeć na pośpiechu. Chociażby pani narzeczonemu!

- Jemu? Nie sędzę. Wczoraj wieczorem sam pan wspomniał, że sir Chandler prawdopodobnie żałuje swoich oświadczyń. Jeśli tak jest w istocie, zapewne jest mi wdzięczny za mój plan.

Rush oparł się wygodniej w krześle i podniósł filiżankę do ust. Brązowe oczy, widoczne nad brzegiem filiżanki, spoglądały na Chloe z wielką uwagą.

- Panno Faraday, czy byłaby pani skłonna wyjawić mi, skąd bierze się pani zdecydowany opór wobec małżeństwa? A może chodzi tu tylko o tego jednego, konkretnego mężczyznę?

Och, Boże! On znów, z uporem maniaka, zadaje to samo pytanie!

- Proszę wybaczyć, panie Rush, ale trudno mi mówić o sprawach bardzo osobistych z kimś, z kim łączy mnie znajomość bardzo krótka i przelotna.

- Czyżby? - Jedna z ciemnych brwi uniosła się nieco. Jednocześnie drgnęła blizna, naparła na mięsień policzka i twarz pana Rusha wykrzywiła się w diabolicznym grymasie. - Sędzę, że to właśnie jest plusem. Kiedy ta cała awantura się skończy, nigdy już się nie zobaczymy. Poza tym nie jestem

plotkarzem, potrafię dochować tajemnicy. Jednym słowem, jestem idealną parą uszu, której może pani zawierzyć bez zastrzeżeń. Myślę, że takiej sposobności nie powinno się marnować.

W jego propozycji było coś kuszącego. Wypowiedzenie wątpliwości na głos zawsze przynosi ulgę. Poza tym - i to bardzo istotne - Chloe było doskonale obojętne, co Rush sobie pomyśli. Ale i tak nie czuła się skora do zwierzeń. Może przyszłoby jej to łatwiej, gdyby Rush nie wyglądał tak groźnie. I nie przyglądał jej się tak bacznie.

- Sama nie wiem, panie Rush... Ja naprawdę pana nie znam...

- Przecież nie zapraszam panią na herbatę ani na bal. Oficjalną prezentację możemy sobie darować. A w tym przypadku moja anonimowość to jeszcze jeden plus.

Zgadza się. Gdyby wiedziała, kim on jest naprawdę, jego zdanie nie byłoby jej już tak obojętne.

- Ja... ja jeszcze się zastanowię, proszę pana. Uśmiechnął się, a ona w środku jakby stężała.

- Jest pani zadziwiająco ostrożna, panno Faraday! I dziwię się temu. Przecież nie dba pani o to, co ja sobie pomyślę?

- Ależ skąd! - skłamała gładko, zdumiona, że czyta w jej myślach jak z otwartej książki. Ale zdecydowała się złożyć broń. - Dobrze, powiem. Mam wielkie obiekcje zarówno wobec małżeństwa, jak i człowieka, któremu zostałam przyrzeczona. On jest zimny jak ryba, a ja pragnę małżeństwa, w którym jest miejsce na uczucie. Uważam, że jest ono niezbędne, jeśli dwoje ludzi ma być ze sobą bardzo blisko.

Rush skrzyżował ramiona na piersi i przechylił nieco na bok głowę.

- Czyli najpierw uczucie, a potem bliskość?

- Tak. Poza tym uczucie sprzyja nawiązaniu przyjaźni, a ja w moim mężu chciałabym mieć przyjaciela. Pojmuje pan? Nie chcę być skazana na małżeństwo bez miłości i przyjaźni. Jeśli mój narzeczony nie potrafi okazać kobiecie przyjaznych uczuć, to ja... ja nie chcę go za męża. Panie Rush! Jestem zaręczona od dwóch lat. Mój narzeczony poszedł na wojnę i nigdy nie napisał do mnie ani słowa! Czyż to nie świadczy o jego obojętności? O sercu zimnym jak lód? A co najmniej o tym, że nie ma nic do powiedzenia i jest straszliwym nudziarzem?

- A pani pisała do niego?

- Ja? No... nie...

- Czyli w jakimś sensie pani też jest winna tej sytuacji!

Chloe poruszyła się niespokojnie.

- Może... w pewnym stopniu... Ale ja pytałam, jak mu się wiedzie, pytałam oficerów powracających z Kontynentu, dostawałam też wieści od mojego brata. Ale to było tak, jakbym pytała o obcą osobę!

Po twarzy Rusha przemknął cień.

- Sądzę, że przede wszystkim pani narzeczony powinien był napisać do pani. Popułnił niewybaczalny błąd. Jakże w ciągu tych dwóch lat milczenia mogła wytworzyć się między wami więź? Ale...

- Cieszę się, że jest pan tego samego zdania, co ja.

- ... ale ta ucieczka chyba niczego nie rozwiąże. Poza tym, czy pani nie pomyślała, że on nie pisał, bo jest człowiekiem wrażliwym i nieśmiałym? Bał się ujawnienia swoich uczuć na papierze, z obawy, że nie znajdą u pani aprobaty i pani go odtrąci?

Bohater spod Ciudad Rodrigo, który odznaczył się też bezprzykładnym męstwem w wielu innych bitwach, miałby być do tego stopnia nieśmiały, że bał się skreślenia na papierze kilku słów? Niepodobna...

- Przykro mi, panie Rush, ale trudno mi to sobie wyobrazić. Ten człowiek, aby ocalić swoje życie, odbierał je innym. A pan zastanawia się, czy to nie nadmierna wrażliwość uniemożliwiła mu napisanie listu do zwyczajnej dziewczyny?

- Pani nie jest taką sobie zwyczajną dziewczyną, panno Faraday, tylko upartą, pełną determinacji kobietą, z którą inni muszą się liczyć. A poza tym... poza tym sądzę, że istnieją jeszcze inne powody pani niechęci do tego małżeństwa, nie tylko brak listów od narzeczonego.

Oczywiście! Ale jej przeszła już ochota na zwierzenia.

- Panie Rush, może porozmawiamy o czymś innym. Może o panu? Opowie mi pan coś o sobie?

Nagle wydał jej się zakłopotany. Bardziej - zapędzony w kozi róg.

- Nie jestem wdzięcznym tematem do rozmowy - powiedział oschle. - Poza tym nie bardzo jest o czym opowiadać.

- To może zdradzi pan przynajmniej, co się stało z pańską nogą?

Rush odstawił filiżankę na stół i wstał.

- Muszę panią opuścić. Mam dużo roboty. Będę zajęty do zmierzchu.

Anthony starał się usilnie, aby do zmierzchu nie brakło mu zajęcia. Ilość drewna, jaką narąbał, była wręcz absurdalna, zważywszy, że następną porą roku miało być lato. Potem zabrał się za naprawę dachu w szopie, nadal w duchu przetrawiając poranną rozmowę z panną Faraday. Nie mogła zapytać o coś innego? O jego prawdziwe nazwisko, o rodzinę, o to, czy zawsze był gajowym albo co robi z pieniędzmi, które dostanie jako okup.

Nie. Nie mogła. Zadała pytanie, które poruszyło w nim najczulszą strunę i na które wcale nie miał zamiaru udzielić odpowiedzi. Opowiadać jej o bitwie, o poległych

towarzyszach broni, o kartaczach, które omal nie odebrały mu nogi. Uratowano ją cudem, przeprowadzając operację natychmiast, jeszcze w okopach, bez środków znieczulających.

Tych bolesnych wspomnień wolał nie tykać. O, nie! Zapalił latarnię, powiesił na kołku i nabrawszy w dłonie wody z koryta, chlusnął sobie w twarz. Ręcznika nie miał, ale z powodzeniem mogła zastąpić go koszula.

To całe porwanie jest szaleństwem, a pomysł George'a, żeby to właśnie Anthony udawał gajowego, fatalny. Kiedy Chloe Faraday dowie się prawdy, rozpęta prawdziwe piekło i tylko utwierdzi się w swojej decyzji o trwaniu w stanie panińskim. Trudno. Ma pełne prawo do decydowania o swoim losie, tym niemniej Anthony nie spocznie, póki nie dowie się, co naprawdę kryje się za tą decyzją.

Chloe z coraz większym niepokojem wpatrywała się w talerze z solidnymi porcjami potrawy, wyczarowanej z resztek szynki. Potrawka, o ile całkiem nie wystygła, była już na pewno ledwo ciepła. A Rush nadal się nie pojawiał. Uprzedzał co prawda, że ma mnóstwo roboty, Chloe jednak podejrzewała, że po prostu nie łaknie jej towarzystwa. Ona również za nim specjalnie nie tęskniła, ale nie po to włożyła tyle wysiłku w przygotowanie kolacji, żeby owa kolacja wylądowała w kubie, jako zimna papka nadająca się tylko dla świń.

Spojrzała w okno. W otwartych drzwiach szopy mignęło światelko. Szybko zdjęła fartuch, rzuciła go na krzesło i zdecydowanym krokiem pomaszerował ku drzwiom. Równie zdecydowanie przemierzyła podwórko, otworzyła drzwi szopy, potem usta, żeby go zawołać i... głos uwiązł jej w gardle.

Rush z obnażonym tarsem stał przed korytem. Wycierał sobie twarz koszulą. Przy każdym ruchu mięśnie na plecach pęczniały imponująco. Kropelki wody, ściekające z mokrych

włosów, spływały strumyczkami po karku i barczystych plecach. Ten widok, z powodów absolutnie niejasnych, wydał się Chloe po prostu fascynujący. Naturalnie, że chciała się wycofać, a przynajmniej dać znać o swojej obecności. Były to jednak tylko dobre chęci. Dalej trwała w progu nieruchomo i milcząco, jak zahipnotyzowana.

A Rush powiesił koszulę na kołku, obok latarni, i chlusnął sobie zimną wodą na pierś i ramiona. Wzdrygnął się i wyciągnął rękę po koszulę. Musiał wykonać przy tym półobrót. Wtedy ją zobaczył. Ręce mu opadły i znieruchomiał. Spojrzenie Chloe przemknęło po jego szerokiej piersi, barczystych ramionach i zatrzymało się na dużych, silnych dłoniach, zaciśniętych w pięści. Wielkie nieba, czyżby Rush był zagniewany?

Przeniosła wzrok na twarz o wyrazie, jak zwykle zresztą, nieprzeniknionym. Chociaż nie, Rush sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał. Prawdopodobnie na to, że ona pierwsza się odezwie. Czyli czekał na próżno, bo ona miała teraz w głowie pustkę, nie była również w stanie wykonać żadnego ruchu. W przeciwieństwie do Rusha, który ruszył się z miejsca. Pomyślała wtedy, że po prostu minie się z nią w progu i pójdzie do domu.

Ale nie. Stał przed nią tak blisko, że czuła na policzku jego oddech.

- Czy pani czegoś ode mnie sobie życzy, panno Faraday?

Drgnęła. Bo przez jej ciało w tym momencie przepłynęła jakaś osobliwa, gorąca fala.

- Ja... ja przyszedłam powiedzieć, że pańska kolacja... stygnie.

Rush wcale nie pospieszył do domu na kolację, tylko podniósł ręce i oparł je o drewnianą ścianę szopy, dokładnie po obu stronach głowy Chloe. Kropelki wody skapywały z jego ciemnych loków na czoło i spływały po policzkach. Kilka

kropelek spadło na Chloe, dokładnie w dekolt jej sukni i spłynęło dołkiem między piersiami.

Chloe znów zadrżała, Rush dalej milczał, jakby na coś czekał.

Na nią. Tak. Chloe czuła to, czuła, że on czekał na nią całą noc.

Pochylił głowę i musnął ustami jej wargi, ustami miękkimi i podatnymi jak aksamit. Natychmiast poczuła delikatne mrowienie w całym ciele, zaczęło się gdzieś w okolicy krzyża i przesunęło się w górę, odbierając jej oddech. Była już całowana, kilkakrotnie, ale ten pocałunek przeszedł najśmielsze jej wyobrażenia. Rush delikatnie gryzł jej wargi, skłaniając je do rozchylenia, a kiedy je rozchyliła, wsunął do środka język. Pieszczota w tym niebywałym miejscu była czymś uniemożliwiającym stanie na własnych nogach. Kolana ugięły się, Chloe była bliska omdlenia, a przecież nie był to jeszcze koniec tych nieprawdopodobnie przyjemnych doznań. Bo pan Rush, oderwawszy usta od jej warg, przesunął językiem po ścieżce wyznaczonej przez jedną z kropelek wody. Od nasady szyi w dół, po wycięcie sukni. Chloe, nie przygotowana na takie poufałości, krzyknęła cicho.

Rush oderwał ręce od ściany i gwałtownie się wyprostował.

- Mam nadzieję, że jedzenie jeszcze nie do końca wystygło - powiedział.

Wyminął ją w progu i szybko ruszył przez podwórko do domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Anthony wcale nie był zdumiony, kiedy Chloe po chwili również weszła do domu i nie odezwawszy się ani słowem, podążyła na strych. Zdawał sobie doskonale sprawę, że przekroczył pewne granice, ale kiedy w tej szopie ujrzał ją nagle w drzwiach, poczuł w sercu ukłucie. Jakież cudowne byłoby małżeństwo z tą właśnie dziewczyną... Dlatego nie mógł się powstrzymać i w konsekwencji swoją nierozwagą ściągnął sobie na głowę nowy kłopot.

Teraz wiedział już przecież, że Chloe smakuje jak ciemny, ciepły miód. I ilekroć spojrzy na nią znad stołu, zawsze będzie widział te kropelki wody, spływające między piersiami za jej dekolt...

Usiadł za stołem i spojrzął w talerz. Potrawka, przyrządzona przez Chloe, wyglądała pociągająco. Nabrał jej na widelec i podniósł do ust. Najpierw poczuł to, co powinien - smak kapusty i cebuli, zmieszanej z ziemniakami i skrawkami szynki. A zaraz potem zaczął się krztusić.

Złapał za imbryk, przytknął dzióbkiem do ust i zaczął pić łąpczywie. Wielkie nieba! Ona do tej potrawy wsypała chyba całą beczkę soli! Powinien był dwa razy pomyśleć, zanim przystał na to jej gotowanie!

Przeplukał gardło i zajrzał do spiżarni. A tam pustki, nawet jednego jedyne jabłka! Trudno, wychodzi na to, że uda się na spoczynek z pustym żołądkiem, przedtem jednak wypada posprzątać ze stołu. Kiedy miał zamiar zimną potrawkę z talerza Chloe wrzucić do kubła, coś go tknęło. Nabrał na widelec odrobinę i bardzo ostrożnie włożył do ust. Posmakował. Wyborne! Chyba najlepsza tego rodzaju potrawka, jaką jadł w życiu! Czyli to zuchwałe dziewczę wystrychnęło go na dudka. Przesoliła, owszem, ale tylko jego porcję. Zaiste, jego gość ma niebywałe poczucie humoru!



Pałał żądzą odwetu. Tym niemniej teraz jego decyzja o małżeństwie była niezachwiana. Trudno ją zmienić, skoro widziało się Chloe w cienkiej nocnej koszuli, zakosztowało pocałunku, a także padło ofiarą psikusa. Po tym wszystkim trudno sobie wyobrazić, że mógłby poślubić inną kobietę.

Następnego ranka Chloe, kiedy odkryła w kuble resztki potrawy, aż zagryzła wargi, żeby się głośno nie roześmiać. Natomiast pusty stół nieco ją zaskoczył. Nie było na nim żadnych śladów, że ktoś jadł śniadanie, czyli Rush wykazuje się niebywałym męstwem, skoro decyduje się na dalsze spożywanie potraw przyrządzonych przez Chloe.

A więc do dzieła! Nalała do kociołka wody, powiesiła go nad ogniem i pomaszerowała do spiżarni. Bez trudu znalazła koszyk z jajkami, wzięła też chleb i duży kawałek ciemnożółtego sera. Wróciła do kuchni, odczekała, aż woda w kociołku zabulgoce i zalała herbatę w imbryku. Kociołek z powrotem powiesiła nad ogniem. Pokrajała chleb i położyła na ruszt, żeby kromki chleba zmieniły się w tosty. Potem zamieszała bulgoczącą wodę w kociołku i w sam środek wbiła dwa jajka. Poczekała, aż się zetną, podeszła do drzwi i zawołała:

- Panie Rush! Śniadanie gotowe!

Oczywiście, że tak. Zapach przypalonych tostów świadczył, że aż za bardzo. Pobiegnęła z powrotem do kuchni i owinąwszy dłoń fartuchem, szybko przełożyła gorące tosty na talerz. Potem chwyciła za łyżkę cedzakową i zajęła swoje stanowisko przy kociołku.

Kiedy Rush wkroczył do kuchni, wszystkie jej złe zamiary natychmiast wyparowały z głowy. Włosy miał rozwichrzone, ciemne loki opadały na czoło, nadając mu delikatny, młodzieńczy wygląd. Poza tym, choćby nie wiem jak się starała, nie mogła zapomnieć tego, co stało się wczoraj w szopie. Pocałunku.

- Dzień dobry, panno Faraday! - powiedział uprzejmie i zasiadł za stołem. - Mam nadzieję, że spała pani dobrze?

- Kamiennym snem, panie Rush. To chyba wpływ zdrowego wiejskiego powietrza - powiedziała równie uprzejmie. Zdjęła kociołek z ognia i trzymając go przed sobą w wyciągniętych rękach, podeszła do stołu. Postawiła kociołek na stole, wyłowiła łyżką jajka i położyła je na talerzu przed Rushem.

A on chwycił za widelec i zawołał entuzjastycznie:

- Świetnie! Zrobiła pani je właśnie tak, jak lubię!

Czy z nim aby coś nie tak?! Przecież jajka w koszulkach powinny być miękkie! Te specjalnie gotowane były zbyt długo, żeby podniebieniu nie dostarczyć żadnej rozkoszy!

Usiadła naprzeciwko Rusha i zerkając na niego podejrzliwie, naląła herbaty do jego filiżanki. A on wziął sobie tosta, zeskrobał przypalony brzeg i posmarował tosta grubo masłem.

Chloe uszczknęła sobie kawałeczek sera i zaczęła go pogryzać, nie odwracając wzroku od Rusha. Zajadał z apetytem. Tylko tak można to było określić, czyli jej plan spalił na panewce. Na zakończenie kawałkiem czarnego tosta zebrał resztki żółtka z talerza i włożył sobie do ust.

- A pani nie jest głodna, panno Faraday? - zagadnął. - Niechże pani też coś zje. Nie powinna się pani głodzić. Co powie na to pani narzeczony?

- Oni On nigdy nie będzie miał sposobności powiedzieć mi cokolwiek!

- Czyli jednak nie zamierza pani z nim się spotkać? Nie stać pani nawet na tak drobną uprzejmość! Cóż za karygodny brak dobrych manier, panno Faraday!

Chyba tak. Poczwała lekkie wyrzuty sumienia.

- Tak naprawdę, panie Rush, to sama jeszcze nie wiem, co zrobię. Myślę, że kiedy wrócę do domu, jego już tam nie

będzie. Napiszę do niego, zawsze to łatwiej napisać, wyjaśnię mu wszystko...

- A może on wcale nie zamierza z pani zrezygnować?

- Nie sądzę. Wiem, że sir Chandler ma wielkie aspiracje polityczne, tak słyszałam. A ja z moją nadwątloną reputacją byłabym dla niego tylko ciężarem. Na pewno już mnie nie chce!

- Nie byłbym tego taki pewien. Zwrócenie pani słowa teraz byłoby bardzo małostkowe. Nie wolno zostawiać kogoś w potrzebie.

- Jak to... w potrzebie?

- O pani reputacji będą szeptać za wachlarzami i nad brandy. Cała socjeta zajmie się spekulacjami na temat, co zrobił z panią nikczemny porywacz. Tak, panno Faraday! Stanie się pani ulubionym tematem plotek wyższych sfer!

Oczywiście! Wszyscy będą pewni, że ona... Och, nie!

- Przepraszam, a co pan raptem może wiedzieć o wyższych sferach? - spytała ostrym głosem. I natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. W oczach Rusha błysnęło. Jej nieopatrzne słowa jakby zawisły w powietrzu, a Chloe ze wstydu aż skręcało. Jakże mogła być tak nieuprzejma? Jak mogła obrazić kogoś, tylko dlatego, że los okazał się dla niego mniej łaskawy i kazał urodzić się niżej?

Rush ostrożnie odstawił kruchą filiżankę na równie kruchy spodeczek.

- Oczywiście, że nic. Ale tak sobie teraz myślę, że pani narzeczony powinien być pani bardzo wdzięczny za uzyskanie szansy pozbycia się pani.

Ten człowiek nie przepuści żadnej okazji, żeby nie wepchnąć jej szpili! Całe poczucie winy wyparowało natychmiast.

- Wczoraj wieczorem miał pan nieco inne zdanie, panie Rush!

- Drobnny błąd, u mnie rzadkość. Zwykle oceniam wszystko bardzo prawidłowo - rzucił oschłym tonem i wstał. - Aha, jeszcze jedno... Pani ojczym odezwał się w sprawie okupu. Dziś rano, kiedy pani wylegiwała się jeszcze w łóżku, pojechałem na umówione miejsce, tam, gdzie pani ojczym miał zostawić mi odpowiedź. I zostawił.

- Czyli wkrótce pan się mnie pozbędzie!

- Niestety, panno Faraday. Pani ojczym przekazał, że nie zapłaci za panią nawet ćwierć pensa. Uczynił natomiast inną propozycję. Za pięćset funtów gotów jest wziąć panią z powrotem. Zgromadzenie tej sumy zajmie mi trochę czasu!

Chloe nadgryzła ostatni kawałek sera. Z domu gajowego wyszła w południe, kiedy Rush gdzieś tam się krzątał. A teraz zapadał już zmierzch, gasnące światła dnia igrały z jej oczami. Cienie rozkołysanych wiatrem gałęzi drzew, tańczące po ścieżce, wydawały jej się złowieszcze i napawały ją lękiem. Jakże chciała dojrzeć już światła wioski, usłyszeć śmiech dzieci. Po prostu usłyszeć i dojrzeć coś, co będzie świadczyć, że zbliża się do cywilizacji. Bo ta cywilizacja musi gdzieś tu być!

Szła przecież dokładnie w tę samą stronę, w którą dwa dni temu udał się Rush z listem. Szła i szła, i nadal na jej drodze nie pojawiała się żadna żywa dusza. A w sercu czuła coraz większy niepokój. Boże wielki! I co teraz będzie? Czy ojczym przyjmie ją z powrotem do domu? Chyba przyjmie, a matka... matka, mimo wszystko, nadal ją kocha...

Zrobiła szybko w myślach rachunek sumienia. Niemało było tych grzechów, biedna matka i ojczym mieli z nią ciężki orzech do zgryzienia. Zawsze samowolna i uparta, chociaż usprawiedliwiał ją nieco fakt, że nigdy nie działała w złyj wierze. I co z tego, skoro teraz nastąpiła całkowita klęska! Ojczym nie chce zapłacić za nią okupu. Dlatego musiała uciec. Ratować się sama.

Zawiodła wszystkich, bo jest kobietą złą, samolubną i bez serca. Nie uświadamiała sobie tego, póki nie zraniła pana Rusha swoim snobizmem. Skrzywił się wtedy, jakby coś go zabolalo, ale zaraz pokrył to sarkazmem. I wtedy po raz pierwszy pomyślała, że jej wcale nie jest wszystko jedno, co sobie pomyśli Rush.

Maszerowała dalej ścieżką, składając sobie w duchu przysięgę. W przyszłości będzie lepsza, na pewno. Słodka, potulna i matka znów zacznie nazywać ją swoim aniołkiem.

Z daleka dobiegło pohukiwanie sowy. W zaroślach zaszeleściło i Chloe natychmiast przypomniała sobie, jak wielki był tamten knur, którego ojczym ustrzelił zeszłej zimy. Czy w tym lesie są niedźwiedzie? Wilki?!

Księżyc nie widać, zasłaniają go korony drzew. Wkrótce zapadnie noc, zrobi się całkiem ciemno. Chloe do tej pory czuła się nieswojo. Teraz czuła lęk, który za chwilę pewnie przerodzi się w paniczny strach.

- Błagam, Panie Boże - szepnęła - pomóż mi odnaleźć drogę, a ja już zawsze będę uległa i posłuszna!

- Może tak posłuszna, jak ja bym sobie tego życzył?

Te słowa Rush wyszeptał jej wprost do ucha. Krzyknęła, zaskoczona, jednocześnie jego widok uradował ją do tego stopnia, że niewiele myśląc, objęła go mocno wpół i przycisnęła do piersi.

- Och, jak dobrze, że to pan... - szepnęła. - Bałam się, że zgubię się w tym lesie!

- I zgubiła się, pani, panno Faraday. Chodziła pani w kółko. Nie zauważyła pani? A gościniec jest tam! Trzeba iść na południe!

Wskazał ręką na jedną ze ścieżek, wijących się wśród drzew.

- Tam? Ojej... A ja niczego nie zauważyłam. Ale to dlatego, że byłam pochłonięta swoimi myślami.

- Brzmi interesująco. Ale teraz najważniejsze to wracać szybko do domu, do mojego oczywiście. Lepiej zdążyć przed nocą.

- Naprawdę pan tego chce? - Chloe opuściła rękę i westchnęła. - Chce pan tego? Przecież jestem dla pana tylko ciężarem, teraz, kiedy ojczym nie chce zapłacić okupu...

- Proszę wybaczyć, panno Faraday. Nie spodziewałem się, że to kłamstwo będzie tak brzemiennie w skutkach. A ja, przyznaję, chciałem tylko dać pani małą nauczkę. Żeby pani nie była tak zadufana w sobie.

- Ja? Zadufana?

- Tak. Trochę. Zauważyłem, że im bardziej panią drażnię, tym bardziej staje się pani zimna i wyniosła.

Jeszcze niedawno pogniewałaaby się na niego. Ale teraz już nie, zmieniła się przecież. Jest łagodna i uległa. Zamiast się złościć, powinna wyplenić tę wadę. A teraz - przeprosić.

- Przykro mi, że pana obraziłam - powiedziała cicho, czując, że łzy napływają jej do oczu.

- Wybaczam. - Kciukami starł łzy z jej policzków.

Jego brązowe oczy wyraźnie złagodniały i serce Chloe zatrzepotało jak ptak w klatce. Czy on znów ją pocałuje? Pochylił głowę, ale nie pocałował. Przycisnął czoło do jej czoła, z jego ust wydobył się ni to jęk, ni to westchnienie i odsunął się.

- Chodźmy już, panno Faraday. Stąd do domu prawie dwie mile. Najpierw przez las, potem przez łąkę. Niestety, nie przyjechałem tu konno. Musimy wracać na piechotę. Proszę powiedzieć, jeśli będę szedł za szybko.

Wcale nie szedł za szybko. Chora noga musiała dawać mu się we znaki, kulał bardziej niż zwykle. Ale kiedy Chloe zaproponowała, żeby przystanęli na chwilę, on z kolei zaproponował, że weźmie ją na rękę.

- Nie spodziewałem się, że ma pani tak słabą kondycję.

- Ja?! - oburzyła się. - Zaraz panu pokażę, kto tu jest wydelikacony!

Roześmiał się.

- Zastanawiam się, jak długo dotrzyma pani swojej przysięgi o uległości, panno Faraday!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ból w nodze rozsadzał mięśnie i kości. Ale nie spojrzał tam - bał się tego, co zobaczy. A przecież w piekle już był. W nozdrzach gryzący zapach prochu, w uszach ogłuszający huk armat i złowrogi świst kawałków metalu, nacierających ze wszystkich stron. Rozdzierające krzyki, zapach krwi, podobny do zapachu miedzi. Serce dudniące w piersi. I to poczucie, jakże wyraziste, własnej śmiertelności. Nie. On z tego piekła nie ujdzie cało.

Noc była ciemna, czernią otchłani. W tej czerni armaty znów zionęły ogniem. Przypadł do ziemi i powoli, cal po calu, czołgał się na stronę brytyjską, ciągnąc ze sobą nieprzytomnego O'Neila. Jeśli da radę - będzie to prawie cud.

Przez kakafonię złowrogich dźwięków przedziera się krzyk pułkownika Aldricha.

- Zostaw go, Chandler! Ratuj siebie!

Nie. Anthony nie zostawi go. Stracił zbyt wielu ludzi, nie będzie poświęcał jeszcze jednego.

Gdzieś nieopodal wybuchł granat. Ogłuszający huk, świst niebezpiecznie blisko. Ciepła czerwień trysnęła do oczu. Jego własna krew.

Pokonał następny cal ziemi, i jeszcze jeden, nie wypuszczając z ramion O'Neila. Kula armatnia trafiła w stojący nieopodal wóz. Wyschnięte drewno stanęło w ogniu, roztaczając wokół siebie świetlisty krąg. W tym kręgu Anthony i O'Neil, teraz jakże łatwy cel dla Francuzów.

Grad kul armatnich jakimś cudem go oszczędził. Ale O'Neil szarpnął się, jakby został trafiony. Chwała Bogu, że jest nieprzytomny.

Resztką sił Anthony dociera do swoich. Przekłada nogi przez brzeg okopu i stacza się w dół, nie wypuszczając O'Neila z rąk. Znużony śmiertelnie, nękany bólem,



nieruchomieje. Zamyka oczy. Ale tylko na chwilę. Przecież tam został jeszcze Wright...

Jak przez mgłę słyszy głos pułkownika.

- O'Neil... biedny chłopak... Chandler... bardziej martwy niż żyw. Biegnijcie po łapiducha...

- Wright... - wymamrotał, pragnąc dać im do zrozumienia, że medyk teraz niepotrzebny. On przecież musi tam wrócić.

Zaczął podnosić się z ziemi, ale pułkownik złapał go mocno za ramiona.

- Wytrzymaj, Chandler. Zaraz przyjdą tu z noszami.

- O... O'Neil?

- Przykro mi, synu. Nie dał rady.

- Nie!

Blade światło księżyca sączyło się przez drzewa otaczające dom. Przez uchylone okno przedostawało się na strych świeże powietrze, przesycone zapachami wiosny. Gałęzie drzew, poruszane łagodnym wiatrem, uderzały cicho o szyby, wystukując swoją nocną piosenkę.

Chloe wzbija poduszki i usiadła. Nie mogła zasnąć z powodu natłoku myśli, a większość tych myśli zajmował naturalnie pan Rush. Dziś w lesie ją zaskoczył. Zwykle taki szorstki, tym razem był rozbawiony. Po raz pierwszy roześmiał się w głos. Szkoda, że nie robi tego częściej, bo wesoły pan Rush podoba się jej o wiele bardziej niż tamten, oschły. I szkoda, że jest tylko gajowym...

Zwykle jest poważny, jakby coś go trapiło. Na pewno nie tylko ten okup. Chloe była wystarczająco spostrzegawcza, żeby to zauważyć, także to, że pan Rush nie należy do ludzi chętnie dzielących się swymi kłopotami.

Westchnęła i bezwiednie zaczęła skubać niebieską jedwabną tasiemkę przy swojej koszuli nocnej - najlepszej, należącej do wyprawy ślubnej, czyli koszuli, której jej

narzeczony nigdy nie zobaczy, ponieważ nocy poślubnej nie będzie.

- Och, Panie Boże... - szepnęła, spoglądając na księżyc. - Co ja narobiłam? Już nigdy więcej nie zaufam samej sobie. Proszę, bądź mi przewodnikiem...

Nagle drgnęła i usiadła prosto jak świeca. Ktoś krzyknął przeraźliwie. Krzyk dobiegał z dołu, a więc to pan Rush. Tak, to on. Krzyknął: „Nie!”, a potem słychać było rumor, jakby coś upadło na podłogę.

Wielki Boże! Czyżby zostali zdemaskowani? A może napadli ich jacyś rabusie?

Wyskoczyła z łóżka. Chwyciła za cynowy świecznik i na palcach, żeby nie zdradzić swojej obecności, podeszła do klapy w podłodze. Ostrożnie wychyliła głowę i spojrzała w dół. Rumor ucichł, teraz słychać było tylko czyjś ciężki oddech. Czyżby Rush został zraniony? Odczekała jeszcze chwilę, a ponieważ z dołu nie dobiegały już żadne niepokojące odgłosy, zdecydowała się zejść po drabinie.

Ogień, płonący w kominku, rozświetlał pokój. Rush na bosaka, odziany w szlafrok, nalewał sobie wina. Ręka, trzymająca kieliszek, drżała jak w febrze.

Czyli to nie rabusie. Chloe odetchnęła z ulgą i opuściła rękę, dzierżącą cynowy świecznik. Pomysł zdzielenia tym świecznikiem kogoś w głowę podobał jej się bardzo, nie była jednak do końca pewna, czy faktycznie tak by się stało.

Rush, usłyszawszy westchnienie, drgnął.

Podniósł głowę i spojrzał na Chloe nieprzytomnym wzrokiem.

- Proszę wybaczyć, że obudziłem panią, panno Faraday. Nic się nie stało, niech pani wraca do łóżka.

- A więc to pan? - Chloe zaśmiała się i postawiła lichtarz na stole. - Ależ mnie pan przestraszył! Czyżby pan zablądził, podążając do wygodki?

Rush nie odpowiedział od razu. Najpierw usiadł i trzymając kieliszek w obu dłoniach, podniósł go do ust. Po trzech porządnych łykach burknął, nie patrząc na Chloe:

- Wcale nie szedłem do wygodki.

Podeszła bliżej, ustawiła się naprzeciwko niego i zaczęła z wielką uwagą przyglądać się jego twarzy. Wyglądała bardziej na wymęczoną niż półprzytomną, czyli musiały go we śnie dręczyć koszmary. I czyjeś towarzystwo na pewno dobrze mu zrobi.

- Duchy? - - spytała krótko.

- Więcej ich było niż może to pani sobie wyobrazić, panno Faraday - powiedział i przytknął kieliszek do ust. Tym razem nie pił już tak łapczywie.

Chloe pokiwała ze zrozumieniem głową i osobiście napełniła jego kieliszek.

- Ja też miewałam koszmary. Czy wino na to pomaga?

- Trochę wygładza postrzępioną duszę - wyjaśnił obrazowo Rush, a Chloe znów pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Wiem, jak to jest... - Uśmiechnęła się, pragnąc nieco rozluźnić ciężką atmosferę. - Chyba też się napiję... - Wyjęła z kredensu jeszcze jeden kieliszek, usiadła naprzeciwko Rusha i naląła sobie trochę wina. - Moje nerwy też wymagają ukojenia. Nie ukrywam, że wystraszyłam się porządnie.

- Mnie, szczerze mówiąc, najbardziej uspokaja brandy albo whisky - wyznał Rush. - Ale w razie konieczności można zadowolić się nawet trunkiem podłego gatunku.

- Ponieważ, niestety, nie ma tu takowych, zadowolę się czerwonym winem!

Kąciki ust Rusha drgnęły, uśmiech był nikły, ale na początek dobre i to. Chloe, zadowolona, przytknęła kieliszek do ust. Wypiła trochę i przymknęła oczy, żeby porozkoszować się ciepłkiem, które poczuła w przełyku, a potem w żołądku.

Kiedy otworzyła oczy, napotkała wzrok Rusha. Wyraz jego twarzy był nieco osobliwy.

- Pomogło, panno Faraday? - spytał.

- O, tak! - Westchnęła i rozsiadła się wygodniej w krześle.

- A o czymże to pan śnił, panie Rush, jeśli wolno spytać?

- To nie był sen. Raczej wspomnienia. Natychmiast zapomniała o rozkosznych skutkach picia wina. Bo sprawa nie była błaha.

Wspomnienia, po których Rush krzyczy i sięga po trunek, muszą być bardzo bolesne.

- Opowie mi pan o nich?

- Raczej nie. To nie są opowieści odpowiednie dla dam.

- Przekonajmy się.

Rush potrząsnął zdecydowanie głową. Chloe jednak dobrze pamiętała, w jaki sposób skłaniał ją do zwierzeń.

- Jestem idealną parą uszu, której może pan zawierzyć bez zastrzeżeń, panie Rush. Takiej sposobności nie powinno się marnować.

Przez dłuższą chwilę milczał, gładząc palcem brzeg swego kieliszka. W końcu uniósł głowę i spojrzał na Chloe.

- Dobrze. Ale kiedy będzie pani miała dość, proszę mi szczerze powiedzieć.

Zaczął opowiadać. Chloe słuchała z powagą i w skupieniu, próbując wyobrazić sobie wszystkie okropności wojny, których w ciągu ostatnich lat doświadczyło na sobie tylu młodych ludzi. Czasami wydawało jej się, że co najmniej połowa młodych Brytyjczyków z towarzystwa wysłana została do jakichś egzotycznych miejsc, nigdy jednak nie zastanawiała się, co ich tam czeka. Ile muszą przecierpieć. A teraz z każdą chwilą w gardle ścisnęło coraz bardziej, kiedy Rush opowiadał, jak to jest na polu bitwy, kiedy armaty zioną ogniem, jak ogłuszający jest ich huk. Dała jednak radę uśmiechnąć się, kiedy zaserwował jej kilka pogodnych

historyjek o swoich najlepszych przyjaciółach, o psikusach, jakie płatali sobie nawzajem.

Nagle ściszył głos, potem zamilkł. Nalał sobie jeszcze wina i zapatrzył w ogień, płonący w kuchennym piecu. Domyśliła się, że nie powiedział jej wszystkiego. Najboleśniej wspomnienie zachował dla siebie.

Przechyliła się nad stołem i położyła mu rękę na ramieniu.

- To nie wszystko, panie Rush, prawda? - spytała cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Nie opowiedział mi pan o tym, co sprawiło, że ręce pańskie drżały, kiedy pan...

Jednym haustem wypił wino do dna, zerwał się z krzesła i obiema rękoma chwycił mocno za oparcie.

- Proszę zostawić mnie samego, panno Faraday. Dość już tych wspomnień.

Chloe powoli podniosła się z krzesła, świadoma, że jeśli teraz nie skłoni go do wyznań, nigdy już nie będzie miała ku temu sposobności.

- Z mojej strony to nie jest głupia ciekawość, panie Rush. Chcę panu pomóc odegnąć od siebie bolesne wspomnienia.

Milczał, zapatrzonego w ogień. I kiedy Chloe zaczęła tracić nadzieję, nagle przemówił.

- Tamtej nocy... walka była bardzo ciężka. W ciągu zaledwie pół godziny straciliśmy trzy czwarte naszych ludzi. Potem pułkownik Aldrich rozkazał szturmować szanice, powiedział, że to jedyna nasza szansa. Próbowałem go ostrzec, ale... Niewielu z nas dotarło do szaniców. Brakowało amunicji, a Francuzi strzelali do nas bez przerwy i lali z góry gorącą smołę. Kiedy przyszedł rozkaz odwrotu, została nas tylko garstka. Wszyscy ranni, ale w najcięższym stanie był O'Neil. Czołgałem się, ciągnąc go za sobą. Miałem nadzieję, że zanim Francuzi zdążą się przegrupować, dotrę do naszych okopów. Strzelali do nas kartaczami. Doktorzy powiedzieli, że to one rozharatały moją nogę. Jeden z pocisków trafił w wóz z

amunicją. Wóz stanął w ogniu, ja i O'Neil byliśmy wtedy widoczni jak na dłoni. Kiedy dotarłem do swoich, O'Neil był już... martwy. Chciałem wrócić jeszcze po Wrighta, ale... ale potem niczego już nie pamiętam. Wiem, że doktorzy ratowali moją nogę. A kiedy gorączka opadła, okazało się, że jestem na statku, płynącym do Dover.

- Och, Boże...

- To wspomnienie dręczy mnie prawie co noc. Ale niech pani się nade mną nie lituje, panno Faraday, nie ja jeden przeżyłem to piekło... Jeśli jednak naprawdę chce mi pani pomóc, sprawić, że chociaż tej nocy będzie inaczej...

Odwrócił się. Jego oczy były nieskończenie smutne.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panie Rush!

Gwałtownym ruchem odepchnął krzesło na bok, podszedł i porwał Chloe w ramiona.

- Proszę, Chloe - szepnął wprost do jej ust - bądź ze mną tej nocy. Pozwól się kochać, pozwól roztopić się w tobie i uwierzyć, że mnie kochasz i chcesz mnie. Proszę, Chloe...

Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy. Serce Chloe, nielojalne, bo zdradzające wszelkie uczucia, biło jak szalone, trzepotało. I nalegało, żeby powiedziała: tak.

- Ale ja... ja nie mogę...

- Możesz, Chloe. Powiedz tylko „tak”, jedno krótkie słowo. Dzięki temu jednemu słowu oboje znajdziemy zapomnienie.

Zapomnienie... Ona już była w stanie myśleć tylko i wyłącznie o ustach Rusha, które teraz zawładnęły jej ustami, złączyły się z nimi w namiętym pocałunku, wyzwającym w niej tęsknoty i pragnienia najśmielsze, takie, których spełnienie doprowadziłoby do łez wszystkich jej bliskich. Ale z drugiej strony... Czy coś tak upragnionego, cudownego może w ogóle doprowadzać do łez?

Jej cichutki jęk Rush zrozumiał jako przyzwolenie. Nie przerywając pocałunku, chwycił ją na ręce i ponióśł do swojego pokoju. Naturalnie, że chciała zaprotestować, powstrzymać go. Chciała, ale tylko przez ułamek sekundy, bo potem jej ręce bezwiednie owinęły się wokół szyi Rusha i zagarnęła ją fala namiętności. Pozwoliła postawić się na podłodze, pozwoliła, żeby Rush rozwiązał jedwabne tasiemki i zsunął koszulę z jej ramion. Jego dłonie były szorstkie, skóra stwardniała, ale kiedy przesuwiał nimi po jej ramionach, robił to tak delikatnie... Usta bez przerwy słodko dręczyły jej wargi. Domagały się Chloe, całej Chloe. Także jej duszy.

Cała w środku płonęła, ale w zamglonej namiętnością głowie zaczynał się odzywać głos rozsądku. Nie, nie wolno jej rujnować sobie życia, zaprzepaszczać przyszłości. Nie wolno ulec temu kulawemu mężczyźnie z oszpeconą twarzą. Gajowemu. Chociaż on... Och! On na swój sposób był piękny, był taki silny i jednocześnie wzruszająco bezradny.

Jakże chciała mu to powiedzieć, i powiedzieć jeszcze coś, co złagodzi mu gorycz jej odmowy. Nagle uzmysłowiła sobie, że nie zna jego imienia. Poznała go przed trzema dniami zaledwie, a za dwa, trzy dni rozstaną się na zawsze. A teraz, mimo że prawie naga znajduje się w jego ramionach, nie może zwrócić się do niego po imieniu! Była wstrząśnięta tym faktem. Dlatego z jej ust wydobył się tylko krótki, pełen desperacji krzyk:

- Nie!

Zdecydowanym ruchem wysunęła się z jego ramion.

- Chloe! Ja...

- Nie - powtórzyła. Tłumiąc w sobie szloch, szybko naciągnęła koszulę na ramiona i zawiązała mocno niebieskie jedwabne tasiemki. - Niezależnie od mojej ucieczki, nadal jestem zaręczona, panie Rush! A poza tym... poza tym ja nawet nie znam pańskiego imienia!

- Nazywam się An...

- Nie! - Uciszyła go gwałtownym ruchem ręki i zaczęła wycofywać się ku drzwiom. - Nie! Nie chcę tego słyszeć! Boję się, że jeśli poznam pańskie imię, ulegnę!

- Chloe! Imię nie ma aż takiego znaczenia! Przecież poznałaś mnie już, wiesz, jakim jestem człowiekiem, a to jest najważniejsze!

Nie miał racji. Wcale go nie poznała. Nie wie, czy kiedy ją uwiedzie, nie będzie wobec niej okrutny. Czy nie znudzi się nią po miesiącu, po jednym sezonie, może po roku. Przecież ona już przez niego płakała...

Połykając łzy, wybiegła z pokoju.

Anthony na chwiejnych nogach stał przy umywalce i kłął w duchu. Do diaska! Nie spodziewał się, że sprawy zajdą tak daleko. Kilka chwil zwierzeń, wspólnego, szczerego śmiechu, bez żadnych podtekstów czy tajonej urazy, a on znów się zakochał. Bo ona nadal była tą samą kobietą, która urzekła go dwa lata temu. Po tym jednym wspólnym tańcu.

Tą samą, ale też i inną, bo czymś bardzo strapioną. Wyczuwał to doskonale, pod jego rozkazami służyło wystarczająco wielu żołnierzy, żeby nauczył się odgadywać, że ktoś coś przed nim ukrywa albo przemilcza.

Chwycił za dzbanek i wlał wody do miednicy. Była lodowato zimna. Ochlapał sobie twarz i sięgnął po ręcznik, zastanawiając się, czy obawa przed małżeństwem trapi Chloe od dzieciństwa, czy to tylko tymczasowy stan ducha. Mówiła, że mężczyzna nie jest w stanie tego pojąć. Może bała się stosunków intymnych? Jeśli tak, to nic innego nie wyleczy jej z tych obaw, jak właśnie bliskość z mężczyzną.

Powiedziała, że nie chce małżeństwa bez uczucia. A przecież wzbudzała w nim wielką namiętność, czuł też, jak w jego sercu znowu rodzi się uczucie do niej - gorące uczucie.



Chloe, choć czasami uszczypliwa i wyniosła, była urzekająca. Nietrudno było ją pokochać.

Kłopotem nie lada było jej wyznanie, że nie potrafi wyjść za obcego człowieka. Anthony nie był już co prawda dla niej całkiem obcy, ale Chloe nadal nie wiedziała, kim jest on naprawdę. A wyjawienie prawdziwego imienia i nazwiska z każdą godziną stawało się coraz trudniejsze. Zdawał sobie przecież sprawę, że Chloe, gdy pozna prawdę, będzie czuła żal i do brata, i do niego. Żal o to, że uknuli taką intrygę. Poczucie się oszukana, zakłopotana, nawet upokorzona. Tak czy owak, będzie zła. Tym bardziej że ona generalnie jest przeciwko małżeństwu.

Coś podkopało jej zaufanie do tego rodzaju związku dwojga ludzi. Ale co? Chloe za nic nie chciała tego wyjawić.

Znów ochlapał twarz lodowatą wodą, z nadzieją, że ochłodzi to jego namiętność i przejaśni w głowie. Niestety, namiętności nie dało się ugasić, nadal pragnął Chloe, jak nigdy dotąd żadnej kobiety.

Wyprostował się i spojrzał w lustro. Boże jedyny! Nic dziwnego, że Chloe od niego uciekła. Czy którakolwiek kobieta byłaby zdolna pokochać taką twarz? Jak można wymagać od Chloe, aby do końca swego życia, zasiadając za stołem, miała przed sobą ten zatrważający widok? Żeby na różnych balach i przyjęciach towarzyskich wysiadywała przy swoim kulawym małżonku, popatrując tylko, jak inne kobiety tańczą ze swoimi mężami?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy poranek zaczynał słać w okno pierwsze złociste promienie, Chloe, od dawna już na nogach, odwracała na drugą stronę gorące muffinki rozłożone na ręczniku - żeby szybciej wystygły. Za sobą miała bezsenną noc, pełną niepokoju i rozmyślań. Wczoraj wieczorem, poruszona opowieścią Rusha, zapomniała na jakiś czas o swoich kłopotach. Jej myśli całkowicie zaprzątnęła jego osoba, bo kiedy otworzył się przed nią, stał się bardziej realny, bardzo jej bliski i, nie ma co się okłamywać, nadzwyczaj pociągający. Bardzo jej się spodobał. Pragnęła jego pocałunków, jego objęć i... to był wielki kłopot. Czy ojczym będzie w stanie zaaprobować jej upodobanie do tego człowieka? Nigdy!

Zajrzała do duchówki w ścianie obok kuchennego pieca. Boczek i naleśniki były jeszcze ciepłe, ale za chwilę zaczną wysychać. Wszystko właściwie było już gotowe, a szkoda, bo bezczynność najczęściej sprzyja tylko smętnym rozmyślaniom...

Z pokoju Rusha dobiegł rumor, czyli wstał już z pościeli. Ukazał się w drzwiach w chwili, gdy Chloe stawiała na stole imbryk. Jego policzki pokrywał ciemny zarost, włosy potargane były malowniczo, a niebieska koszula rozpięta na piersi. Na ten widok serce Chloe podskoczyło. Próbowwała zmusić się do spojrzenia w bok, oczywiście bezskutecznie.

- Wstała pani dziś wyjątkowo wcześnie, panno Faraday!

Trudno było myśleć jasno, gdy przed oczyma ma się tak wspaniałą męską pierś. Chloe musiała najpierw kilkakrotnie zamrużyć oczami, potem mruknęła gdzieś w stronę kuchennego pieca.

- Nie chciało mi się spać...

- Aha... A ja chciałem panią przeprosić za wczorajszy wieczór. Bardzo żałuję mojego zachowania i obiecuję, że nigdy to się nie powtórzy.

Chloe, zajęta ustawianiem na stole półmiska z boczkiem i naleśnikami, opuściła głowę. Nie daj Boże spojrzeć teraz na Rusha! Jeszcze dojrzy w jej oczach rozczarowanie...

- Jestem za to tak samo odpowiedzialna jak pan, panie Rush - powiedziała cicho. - Przecież wcale nie byłam... niechętna...

Nastąpiła chwila ciszy, a to skłoniło Chloe w końcu do podniesienia głowy. Patrzył na nią, a w jego oczach, mogłaby przysiąc, zamigotały wesołe iskierki.

- Dziękuję - powiedział, a na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. - Bo to oznacza, że wczoraj zrozumiałem panią opacznie.

Zaczął pośpiesznie zapinać koszulę. Chloe, zarumieniona, odwróciła się i pomknęła do spiżarni po dżem i masło. W drodze powrotnej dokończyła swoją myśl:

- Naturalnie, że to się nie powtórzy. Bo czy to podoba mi się, czy nie, jestem zaręczona i w najbliższą sobotę mam wyjść za mąż.

Rush głośno szurnał krzesłem i zasiadł do stołu.

- Czyli podjęła pani decyzję o zamążpójściu, panno Faraday?

Czy podjęła? Nie, sama jeszcze nie wiedziała, jak postąpi. Przedtem, w Litchfield, wszystko wydawało się jasne i proste, a teraz trudno jej było sprecyzować swoje uczucia. Poczucie obowiązku nakazywało powrót do domu i dotrzymanie danego słowa. Ale serce... Och, Boże! Jej serce sprzeciwiało się temu z całą mocą!

Westchnęła, zasiadła za stołem i wbiła wzrok w swój talerz. Teraz była pewna tylko jednego. Cokolwiek by nie uczyniła, ojczym i tak ją ukarze. W dzień swojego ślubu, oprócz panieńskiej bieli, będzie nosiła jeszcze inne barwy. Kolor siny i czarny. Kto wie, czy w tym małżeństwie nie czekałby ją los łaskawszy niż dotychczasowy? Może George

wiedział o tym i dlatego prosił ją, żeby mimo wszystko się przełamała i zdecydowała na ślub?

A może i nie, może tamten obcy człowiek wcale nie będzie traktował jej łagodniej, będzie jeszcze gorszy, gdy wpadnie w złość...

- Nie. Nie mogę tego uczynić, panie Rush.

- Dlaczego?

- Zna pan to powiedzonko: lepsze znane zło niż nieznane?

- Jakie zło, panno Faraday? Czy pani jest w tarapatach?

- Ja zwykle bywam w jakichś opałach, panie Rush.

Wystarczy spytać George'a albo ojczyma. A te obecne w sumie nie są czymś nadzwyczajnym - oświadczyła i chwyciła za widelec, z nadzieją, że gdy zacznie jeść, Rush poniecha natarczywych pytań.

Kiedy przełykała kawałek naleśnika, spojrzenie Rusha spoczęło na jej ustach. Czyżby pobrudziła się dżemem? Dyskretnie oblizwała wargi, co Rush, niestety, musiał dojrzeć i po jego twarzy przemknął jakiś taki leniwy uśmiech. A to ją nieco zirytowało, nie odezwała się jednak i do końca posiłku nie zamienili już ze sobą ani słowa. Chloe tylko co pewien czas zerknęła ponad stołem, Rush natomiast przyglądał jej się całkiem otwarcie. Cisza stawała się coraz bardziej kłopotliwa, napięcie coraz większe. W końcu Chloe wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

Rush też wstał.

- A ja i tak się dowiem! - oświadczył. Chloe, w połowie drogi do zlewu, przystanąła i spojrzała przez ramię.

- Czego, jeśli wolno spytać?

- Tego, co pani przede mną ukrywa, czego pani się boi. Będę to wiedział, jeszcze zanim pani stąd wyjedzie.

- Bardzo w to wątpię, panie Rush!

Chloe skończyła zmywać statki i poszła do siebie, na strych, z zamiarem zajęcia się robótką. Nie zdążyła jeszcze

nawlec igły, gdy z dworu dobiegły nagle niepokojące odgłosy. Tętent końskich kopyt. Natychmiast poderwała się z krzesła, podbiegła do okna i ostrożnie zerknęła spoza białej koronkowej firanki.

O, Boże! Sądząc po mundurach, to żołnierze Jego Królewskiej Mości! Podjechali już pod dom, teraz okrążali gajowego, który niósł kubel z pomyjami dla świń. Jego nienaturalnie wyprostowane plecy świadczyły, że jest zdenerwowany. Ale twarz, jak zwykle, była nieprzenikniona.

Po co przyjechali ci żołnierze? Wiadomo. I nie wolno tracić cennych minut. Chloe podbiegła do otwartej kłapy w podłodze i błyskawicznie wciągnęła drabinę. Cicho zamknęła klapę i powróciwszy do okna, dopiero teraz cała zamieniła się w słuch. Niestety, okno było zamknięte.

Uszy Chloe wyłapywały tylko cichy szmer głosów, poszczególnych wyrazów nie sposób było rozróżnić. Och, co za diabeł ją podkusił, żeby tego ranka zamknąć okno wyjątkowo starannie?!

Minęło kilka chwil i żołnierze zaczęli zsiadać z koni. Rush, nie wypuszczając kubła z rąk, poprowadził ich do szopy. Żołnierze okrążyli szopę, kilku z nich weszło do środka, a Rush z kapitanem kontynuowali rozmowę. Znowu minęło kilka minut i Chloe uzmysłowiła sobie, że ci mężczyźni w mundurach są szalenie dokładni. W końcu jeden z nich wysunął głowę przez okienko na stryszku na siano i zawołał głośno:

- Panie kapitanie! Nic tu nie ma!

Jego słowa Chloe usłyszała wyraźnie. Rush i kapitan zaczęli powoli iść w kierunku domu. Głowy mieli pochylone ku sobie, ponieważ konwersowali, a żołnierze deptali im po piętach.

Z dołu dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Podłoga zaskrzypiała pod ciężkimi butami. Chloe wstrzymała oddech,

ukłękła jak najciszej, podsunęła się do klapy i przyłożyła do niej ucho.

Słyszała, jak otwierano i zamykano drzwi na tyłach domu, żołnierze zapewne poszli przeszukać ogród i wygódkę. A do uszu Chloe zaczęły nareszcie dobiegać wyraźnie słowa.

- Porwana? - spytał Rush.

Głos kapitana był dźwięczny i dziarski.

- Tak! Trzy dni temu. Nie odnaleziono jej jeszcze, ale pan Hubbard uważa, że nie znajduje się daleko. Dziwne, że pan jeszcze o tym nie słyszał.

- Czy pan Hubbard jest bogaty? Jakiego okupu zażądał porywacz?

- Pan Hubbard jest człowiekiem przeciętnie zamożnym. Tak sędzę. A zażądano okupu w wysokości pięciu tysięcy funtów. Hubbard nie chciał tyle zapłacić, ale jego żona podniosła rwetes, więc zaczął gromadzić tę kwotę.

- I pan musiał się w to włączyć, kapitanie? Dziwne. Pan Hubbard mógł przecież wynająć detektywa.

- Pan Hubbard ma szerokie koneksje, również w rządzie. Ktoś winien mu być przysługę. Współczuję temu łobuzowi, co miał czelność porwać pańską...

- O, tak! Mogę to sobie wyobrazić!

- Ci, co poważyli się na czyn tak niegodny, będą wisieć albo czeka ich ciężkie więzienie. Nie unikną tego.

Rush nic nie odrzekł, a Chloe poczuła, że oblewa się zimnym potem. George! George za jej głupotę pójdzie do więzienia! Czeka go straszny los, tak samo gajowego Rusha, który po prostu tylko rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy! Niczego złego jej nie zrobił, właściwie to jest tak, jakby wcale jej nie porwał, tylko pomógł ukryć się przed ojczymem. Och, Boże jedyny! Ona gotowa jest dać wyrwać sobie serce, byle tylko Rush nie ucierpiał!

Tak! Powinna teraz ujawnić się i wyjaśnić całą tę intrygę. Wtedy może tylko ona jedna pójdzie do więzienia!

- W sypialni nie znaleziono niczego! - zawołał dziarskim głosem któryś z żołnierzy. Drzwi na tyłach domu znów stuknęły i inny męski głos zaraportował: - W ogrodzie nie ma nic, tak samo w wygódce, panie kapitanie! Riley sprawdził lasek za domem. Nie natrafił na żaden ślad.

Po chwili rozległ się głos kapitana.

- Dziękuję, że pozwolił nam pan tu się rozejrzeć!

Głos Rusha zdradzał, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Drobiazg, panie kapitanie! Pan wybaczy jednak, mam sporo roboty. Jeśli pan już skończył, wrócę do moich zajęć.

- Ależ oczywiście! Proszę wybaczyć, że zabraliśmy panu cenny czas, ale mamy rozkaz szukać wszędzie. Bez wyjątku. Zajrzeć pod każdy kamień, sam pan rozumie.

- Naturalnie. Dlatego nie zamierzałem utrudniać panu wypełniania jego obowiązków. Ale mam nadzieję, że długo to już nie potrwa!

Chloe słuchała, zdumiona. Ten gajowy nieźle sobie poczyna z ludźmi króla! A oni darzą go osobliwym szacunkiem. Było nie było - gajowego. Czy potrafi on tak podporządkować sobie wszystkich<sup>1</sup>? -

- Już skończyliśmy, proszę pana - zapewnił kapitan. Sądząc po krokach, obaj panowie przemieszczali się ku drzwiom. - Aha... Trzeba jeszcze rzucić okiem na ten strych. Czy mógłby pan otworzyć klapę?

Chloe była o krok od wydania cichego okrzyku. Na szczęście, zdążyła sobie ręką zasłonić usta. Co robić? Co robić?! Głupia, nie pomyślała, żeby przesunąć na tę klapę sekretarzyk albo łóżko! Może usiąść na niej\*? - Chyba wtedy nie dadzą rady jej otworzyć...

- Kłapę? - powtórzył przeciągle Rush. - Ach, tak! Kłapę... Nie otwierałem jej od lat! Muszę iść do szopy po drabinę.

- Od lat? - spytał kapitan. - Czy dobrze usłyszałem?

- Tak, panie kapitanie. Widzi pan przecież, że nawet nie ma tam przystawionej drabiny.

- Widzę. W takim razie nie będziemy zaglądali na strych, nie będę sprawiać panu kłopotu.

- Dziękuję, kapitanie. I życzę powodzenia w dalszych poszukiwaniach.

Znów odgłos zamykanych drzwi. Chloe na kolanach podsunęła się z powrotem do okna, zerknęła zza firanki i zaniósła ku niebiosom krótką, dziękczynną modlitwę. Rush, z kubłem w ręku, podążył do szopy, a żołnierze dosiadali swoich koni.

Anthony, wymachując energicznie widłami, nazrzucał ze stryszku świeżej słomy na podściółkę dla koni. Musiał przyznać, że rola gajowego pod jednym względem na pewno wychodziła mu na dobre. Dzięki pracy fizycznej codziennie czuł się silniejszy. Ale psychicznie czuł się nie najlepiej, był pewien, że cała ta historia przysporzy mu nowych dolegliwości. Przede wszystkim wrzodów żołądka.

Kiedy zobaczył żołnierzy, pierwsza jego myśl była smępna. Gra skończona! Najpierw poprowadził ich do szopy, niestety do domu też trzeba było zajrzeć. Tu czekała go niespodzianka. Chloe, osóbką niezwykle pojętna, ukryła się na strychu. Wciągnęła drabinę, zamknęła kłapę i siedziała na górze cichutko jak mysz pod miotłą.

Ale Anthony nadal miał powody do niepokoju. Kapitan rozpoznał go od razu, istniała więc możliwość, że podczas rozmowy powie coś, co zdradzi prawdziwą tożsamość rzekomego gajowego. I usłyszy to Chloe. A Anthony stanowczo wolał jeszcze utrzymywać ją w nieświadomości.



Póki nie dowie się, co tak naprawdę odstrasza Chloe od małżeństwa.

Na szczęście, wszystko skończyło się pomyślnie... Anthony wrzucił widły na stryszek i otarł ręką spocone czoło. Jeszcze tylko trzeba na - j pompować świeżej wody do koryta i robota skończona.

Poza tym - koniecznie musi wyjawic jej swoje prawdziwe nazwisko, nawet jeśli konsekwencje tego będą żałosne. Bo kto wie, czy Chloe nie zdecyduje się jednak na zamążpójście. W sobotę, przed ślubem, będzie jednym kłębkim nerwów. Jak zareaguje, gdy zobaczy, kto czeka na nią przy ołtarzu? Zemdleje albo załamie się...

- Panie Rush!

Stała w otwartych drzwiach szopy, oparta o framugę. Rozpromieniona i taka śliczna!

- Udało się, panie Rush!

Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i na zeszpeconym blizną policzku wycisnęła głośnego całusa.

- Wyprowadziliśmy tych żołnierzy w pole. Och! Jak się cieszę!

Była urocza, uwodzicielska, a jednocześnie niewinna i zabawna. Anthony gotów byłby poświęcić drugą nogę, gdyby było to jedynym warunkiem, że Chloe w tym stanie ducha pozostanie na zawsze. Przecież on nieba by jej przychylił...

- Trzeba to uczcić. Dziś wieczorem! - oświadczyła Chloe. Nagle uśmiech na jej twarzy zgasł, a policzki pokrył ciemny rumieniec. Zażenowana zapewne swoim poufałym zachowaniem, opuściła szybko ręce i cofnęła się o krok.

- Uczcić? - powtórzył Anthony z błyskiem w oku, jako że w tym właśnie momencie przyszła mu do głowy przewrotna myśl. - Pomysł wyborny, panno Faraday! Otworzę najlepsze wino i wzniesiemy toast za nasze zwycięstwo!

Pomysł rzeczywiście przedni. Nic tak nie rozwiązuje języka jak trunek. Chloe na rauszu być może wyjawi mu wreszcie prawdziwe powody swej niechęci do małżeństwa. Naturalnie, że miał pewne skrupuły, ale tylko przez moment. Przecież jego intencje są jak najlepsze!

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Chloe włożyła wołowinę do kociołka ustawionego na ogniu i poszła na strych odświeżyć się przed uroczystą kolacją. Była w nastroju niemal świątecznym i wielce zadowolona. Ludzi króla udało się odprawić z kwitkiem, dom gajowego nadal był bezpiecznym schronieniem, gdzie można spokojnie przeczekać dzień ślubu i uniknąć katastrofy. A potem wrócić do domu...

Do domu, gdzie czeka matka i George. Niestety, także ojczym, który najprawdopodobniej ją wychłoscze. Ale ona wytrzyma to z największą godnością, na jaką ją stać, i pokorą, ponieważ tym razem zasłużyła. Nikt, naturalnie, się nie dowie, że porwanie było ukartowane, ale tak czy siak, Chloe czuje się winna, że jej rodzina została wzięta na języki. A ona stała się ciężarem, bo najprawdopodobniej nikt już nigdy jej się nie oświadczy.

Uzmysłowiła sobie jeszcze jeden fakt. Kiedy wróci do Litchfield, nigdy już nie ujrzy Rusha. Nie była to myśl wesola, ponieważ Chloe zaczynała darzyć go sympatią. Umiarkowaną, ale zawsze. Rush na to zasłużył, jest życzliwy i cierpliwy, wcale się nie skarżył, kiedy umyślnie przesoliła jego potrawkę. Czowała, że będzie go jej brakować, na pewno. A on? Czy będzie zadowolony, że jego samotnia znów stanie się samotnią? Czy odczuje brak Chloe Faraday?

Rozebrała się, napełniła wodą miednicę i umyła się bardzo dokładnie. Dosłownie każdy cal swego ciała. Kiedy była już czysta od stóp do głów, nałożyła jedyną suknię, która, jej zdaniem, nadawała się na dzisiejszą uroczystość. Wieczorową suknię z jedwabiu w kolorze lawendy, wykończoną na brzegach przezroczystą białą koronką. Starannie wygładziła suknię na biodrach z nadzieją, że Rush wybaczy jej brak gorsetu. Wyszczotkowała porządnie włosy, a kiedy błyszcząły jak lustro, zgarnęła je do tyłu i przewięzała białą wstążką. I

żałując, że jej garderoba jednak jest ograniczona, zeszła na dół po drabinie.

Rush ściał kilka gałązek kwitnącego bzu, rosnącego za domem. Włożył je do dzbanuszką i dzbanuszek ustawił na środku stołu. Chloe kochała bez. Kiedy nakrywała do stołu, upojny, ciężki zapach pobudzał jej zmysły, skłaniał do westchnień i wspomnień. O ciepłych wiosennych dniach, kiedy lubiła poleżeć sobie na brzegu rzeki i leniwie popatrywać na chmury. O dniach beztroskich, nieskomplikowanych - daj Boże, żeby takie dni zdarzyły się jeszcze w jej życiu...

Odgłos zamykanych drzwi i nierównych kroków świadczył, że do kuchni wszedł Rush. Chloe odwróciła się do niego z uśmiechem i nagle zamarła. Podziękowanie za bukiet bzu pozostało gdzieś w gardle.

Rush wyglądał olśniewająco. Miał na sobie elegancką białą koszulę, śnieżnobiałą, tak samo jak chustka, owinięta wokół szyi. Obcisłe popielate spodnie wpuszczone były w błyszczące jak lustro wellingtony. Policzki gładkie, świeżo ogolone, wilgotne włosy przyczesane zgodnie z modą. Gdyby nałożył jeszcze frak, wyglądałby jak dżentelmen z najlepszego towarzystwa. A ta blizna na lewym policzku mogłaby być tylko pozostałością po pojedynku.

Uśmiechnął się. Z powodu blizny uśmiech był nieco krzywy... ale i tak porywający.

- W tym kolorze lawendowym jest pani bardzo do twarzy, panno Faraday!

Policzki Chloe zapłonęły. Choć sama nie wiedziała, skąd u niej to nagłe zażenowanie. Komplementy prawiono jej przecież nierzadko. Ale komplement usłyszany z ust tego właśnie człowieka miał jakby inną wartość...

- Pan też wygląda... bardzo ładnie - powiedziała w końcu i Rush roześmiał się. Jego śmiech bardzo jej się spodobał,

pomyślała, że szkoda, że śmieje się on tak rzadko. Wojna i rany odebrały mu chęć do śmiechu... Wojna... Przecież nieznany narzeczony Chloe też był na wojnie, walczył w wielu bitwach. Chloe po raz pierwszy zadała sobie w duchu pytanie, jakim on jest człowiekiem? Czy śmieje się często, czy jest tak samo powściągliwy i poważny jak Rush?

Potrząsnęła głową. Co za głupie myśli... Nie ma sensu psuć sobie miłego wieczoru rozważaniami na temat sir Anthony'ego Chandlera.

Rush pozapalał lampy, Chloe wyjęła owalny posrebrzany półmisek i ułożyła na nim mięso, ziemniaki i marchewki.

- Może ja się teraz tym zajmę... - Wyjął jej półmisek z rąk i zaniósł do stołu. Szybko i zręcznie odkroił płaty mięsa i ułożył na talerzach. Z głębi przepastnego kredensu wyjął dwa kryształowe kieliszki i postawił je na stole. Na moment znikł w spiżarni, wrócił po chwili z butelką wina.

- Moje najlepsze! - oznajmił. - Zgodnie z obietnicą!

Przesadnym ruchem wyciągnął korek. Zrobił to tak zabawnie, że Chloe nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Potem elegancko odsunął nieco krzesło i pomógł jej zasiąść za stołem. Rozlał wino do kieliszków, usiadł w swoim krześle i wznosił toast.

- Za nasze zwycięstwo!

Chloe też podniosła swój kieliszek i powiedziała z uśmiechem:

- Za żołnierzy, którym na szczęście było spieszo!

Ciemnoczerwony burgund spłynął do żołądka, krew zaczęła roznosić po całym ciele przyjemne ciepło. Wino było rzeczywiście bardzo dobre. Jakimże to cudem zwyczajny gajowy zna się na winach?

Rush nabrał na widelec kawałek mięsa. Zauważyła, że wkładał je do ust bardzo ostrożnie. Posmakował i jakby się odprężył,

- Wyjątkowo smaczne, panno Faraday! Trzeba przyznać, że bardzo szybko nauczyła się pani gotować. Jestem pełen podziwu.

Do licha! Policzki Chloe znów zapłonęły, ręka z widelcem bezwiednie zaczęła popychać jeden z ziemniaków na talerzu. Ziemniak zatoczył kółko, a Chloe mruknęła:

- Ja... wszystkiego uczę się szybko.

- Zadowolony jestem, że pani tu się tak zadowoiła, panno Faraday - powiedział. - Szkoda, że wkrótce opuści pani mój dom. Akurat wtedy, kiedy oboje wreszcie zaczynamy przyzwyczajać się do siebie.

Znów to samo - bolesne ukłucie w sercu na myśl, że już nigdy więcej go nie zobaczy...

- Panie Rush! Czy pan i George obmyśliliście już, co robić, jeśli mój ojczym nie zechce zapłacić okupu? Gdyby tak się stało, czy mój brat zapłaci panu? Ja zresztą też mam trochę pieniędzy...

- Nie ma powodu do obaw, panno Faraday. Zapłacono mi z góry.

- Czyli pan drażnił się tylko ze mną, kiedy mówił...

- Tak. Przyznaję. Ale pani również drażniła się ze mną, więc jesteśmy kwita. Czy mogę ogłosić zawieszenie broni?

Skinęła skwapliwie głową. Oboje ponownie podnieśli swoje kieliszki i stuknęli się nimi.

- Zdaję sobie sprawę, że na początku byłam nieco zadziorna - powiedziała z uśmiechem.

- Proszę wybaczyć, ale byłam tak przejęta tą sytuacją, że nie byłam sobą.

Rush również się uśmiechnął. Naturalnie - krzywo.

- Wierzę. I proszę nie czynić sobie żadnych wyrzutów. Dla mnie, panno Faraday, w każdym stanie ducha jest pani zachwycająca.

- A pan jest zbyt uprzejmy, panie Rush. Tym niemniej... dziękuję.

Nieco zażenowana tą wytwarzającą się między nimi zażyłością, zajęła się jedzeniem. Dlaczego ten gajowy zrobił się nagle taki... wręcz nadskakujący? Prawie jak zalotnik?

Przez chwilę gawędzili o wszystkim i o niczym, po czym Rush powrócił do konkretów.

- Czy pani boi się swego powrotu do Litchfield, panno Faraday?

- Ja... Przedtem tak... Ale teraz...

- Teraz pani nie może się doczekać?

- To nie tak, panie Rush. Po prostu przemyślałam moją decyzję. Uzmysłowiłam sobie, że postąpiłam pochopnie. Chociaż może i nie. Mój narzeczony od trzech tygodni przebywał już w Anglii, kiedy postanowiłam uciec. Decyzję podjęłam w dniu, w którym ojczym, głuchy na moje błagania, ostatecznie zabronił cokolwiek odwoływać. Żałuję, że nie spotkałam się z moim nieszczęsnym narzeczonym osobiście. Mogłam chociaż napisać do niego. Powinnam była to zrobić, mimo że on nigdy nie wyświadczył mi tej uprzejmości. Nigdy do mnie nie napisał. Ale teraz czuję, że powinnam jednak wrócić do Litchfield jeszcze przed ceremonią ślubną i wszystko wyjaśnić. Powinnam tam jechać choćby jutro.

Rush wyraźnie spochmurniał.

- Pragnie pani udać się do Litchfield, aby osobiście zwrócić swemu narzeczonemu słowo?

Milczała, zastanawiając się w duchu, czy zdradzić mu prawdziwe powody swojej decyzji. Wyznać, że to jego opowieści o odwadze i poświęceniu nauczyły ją wiele, przede wszystkim pojęła, co to znaczy być człowiekiem prawym i odważnym. Bo tylko tchórz ucieka przed niebezpieczeństwem czy kłopotami. Chloe wybrała odwagę. Postanowiła stawić czoło temu wyzwaniu. Przyznać się do tego? Och, nie. Rush

na pewno ją wyśmiej. Dlatego lepiej udzielić odpowiedzi wymijającej.

- I z wielu innych powodów, proszę pana. Rush napełnił ponownie jej kieliszek.

- A nie zdradzi mi pani chociaż jednego z nich? - rzucił, jakby mimochodem.

- Nie, panie Rush - ucięła i zajęła się jedzeniem, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych pytań.

Rush wzruszył ramionami.

- No cóż... A więc dobrze. Nie będę drażył, tylko dokonam małego podsumowania. Uciekła pani, ponieważ nie chce wychodzić za mąż za człowieka kompletnie obcego. Człowieka, który nigdy nie zadał sobie trudu, żeby odezwać się do pani w taki czy inny sposób. Uciekła pani też dlatego, bo pani w ogóle nie chce wyjść za mąż. Z powodu pewnych delikatnych spraw. Czy dobrze to wszystko podsumowałem?

Chloe skinęła potakująco głową.

- Tak. Podsumował pan to właściwie. Czy zgłasza pan jakieś zarzuty wobec któregoś z tych powodów?

- Nie. Absolutnie nie. - Rush starannie opróżnił swój talerz i odsunął się z krzesłem od stołu. - Zgadza się z panią całkowicie. Pani narzeczony jest chłystkiem i nie ma pojęcia, jak zachować się wobec dam. Nie zasłużył na panią, panno Faraday!

W jego głosie słychać było wesołe nutki, w rezultacie Chloe nie była pewna, czy Rush znów się z nią nie droczy. Jego twarz, co prawda, była śmiertelnie poważna, ale oczy zdradzały coś wręcz przeciwnego.

- Przyznam się jednak... - ciągnął, napełniając znów jej kieliszek - że o tych delikatnych sprawach, o których pani wspomniała, o tych obawach i złych przeczuciach, mam pojęcie dosyć mgliste. Zastanawiałem się nad tym i wyznam, że doszedłem do pewnych konkluzji.



Chloe uśmiechnęła się i zalotnie przechyliła głowę na bok.

- Proszę mnie oświecić, panie Rush!

- Bardzo proszę. A więc, gdybym ja był panną na wydaniu, utrata wolności też nie byłaby mi w smak. W pani przypadku jest to tym trudniejsze, że ma pani podporządkować się nieznanemu człowiekowi.

Jakiż ten Rush jest domyślny! Chloe, zaskoczona, uniosła brwi i wypila następny łyk wina.

- Słusznie, panie Rush. Czy ma pan jeszcze jakieś spostrzeżenia?

- Och, co najmniej tuzin! Chce pani posłuchać?

- Naturalnie. Nie mogę się doczekać!

- A więc proszę. Gdybym był słodkim, niewinnym dziewczęciem, otaczanym miłością i opieką przez rodziców i rodzeństwo, ciężko by mi było rezygnować z tego na rzecz niepewnego losu.

Chloe uśmiechnęła się szeroko. Bo jednak tym razem nie miał racji, ten niby tak domyślny pan Rush.

- A tu, niestety, myli się pan. Nigdy nie byłam tak rozpieszczana, jak pan sądzi.

- Aha... Ale, mimo wszystko, lepsze znane zło niż nieznanne, prawda?

- Może i jest w tym źdźbło prawdy, panie Rush...

Chloe opuściła głowę i wbiła wzrok w swój kieliszek.

- Ale ja jeszcze nie skończyłem - odezwał się Rush. - Na przykład... W pełni rozumiem lęk pańien przed rodzeniem dzieci. Zawsze oznacza to wielki ból, niekiedy pojawia się przy tym niebezpieczeństwo utraty życia. A co innego znosić ból, który co jakiś czas trapi każdego z nas z różnych powodów, a co innego samemu sprowadzić go sobie na kark!

Wielkie nieba! Nie miała pojęcia, że mężczyźni zastanawiają się nad takimi rzeczami! Bo ona, szczerze mówiąc, wcale o tym nie myślała.

- Niestety, panie Rush. Tego wcale nie brałam pod uwagę.

- Naprawdę? A to ciekawe. Bo ja, chociaż jestem mężczyzną, bardzo głęboko bym się zastanawiał, czy namawiać moją żonę do macierzyństwa.

- Ach! Ileż w panu... zrozumienia...

Dopiła swoje wino. Pan Rush natychmiast nappełnił jej kieliszek, odstawił pustą butelkę i wstał.

- Mam na deser niespodziankę dla pani, panno Faraday.

Na chwilę znikł w spiżarni. Wrócił, trzymając w jednej ręce miskę skąpanych w rosie poziomek, w drugiej miseczkę z gęstą śmietaną, zbieraną z podgrzewanego mleka. Jednocześnie przyciskał do siebie ramieniem butelkę lekkiego białego wina.

- Lubi pani poziomki, panno Faraday? - spytał. - Znalazłem nad rzeką dosłownie ich cały łąn.

Roześmiała się, wyobrażając sobie, jak ten surowy, pokryty bliznami gajowy gramoli się na błotnisty brzeg rzeczki, aby nazbierać dla niej poziomek.

- Uwielbiam poziomki, panie Rush. I śmietaną też!

Przez chwilę gawędzili na temat wyższości poziomek nad malinami oraz o tym, czy brzoskwinie smakują lepiej świeże czy w cieście. Dyskusję pan Rush zakończył błyskotliwą uwagą o tym, że jabłko zawsze smakuje, pod każdą postacią. W końcu to owoc zakazany. Chloe zachichotała i uzmysłowiła sobie nagle, że oprócz rozkosznego ciepła w całym ciele zaczyna odczuwać sensacje innego rodzaju. Po prostu kręci jej się w głowie. Dlatego też, kiedy pan Rush zamierzał znów nappełnić jej kieliszek, zaprotestowała.

- Dziękuję, ale nie, panie Rush. Jestem już na rauszu.

- Niechże pani nie odmawia, panno Faraday! Przecież świętujemy nasze zwycięstwo! A poza tym, jeśli będzie pani nastawać na powrót do Litchfield, jest to nasza kolacja pożegnalna.

Radosny nastrój Chloe nagle prysł. Dlaczego? Dlaczego tak posmutniała? Przecież powrót do Litchfield był jedyną rozsądną rzeczą, jaką mogła teraz uczynić. Wróci do siebie, do swojego łóżka, wróci, aby uspokoić matkę i siebie, kiedy upewni się, że George nie zapłacił za jej szalony wybryk.

I nigdy więcej nie zobaczy już pana Rusha.

Rush delikatnie wsunął dłoń pod jej brodę, w palcach drugiej dłoni trzymał poziomkę. Zanurzył ją w śmietanie i wsunął Chloe do ust.

- Myślę, panno Faraday, że tych pani obaw co do małżeństwa jest o wiele więcej. Powie mi pani, czy mam zgadywać?

Chloe milczała, zajęta przeżuwaniami i przełykaniem. Rush tymczasem pochylił się nad nią, nie ustając w wywodach:

- O ile sobie przypominam, wspomniała pani oględnie o małżeńskiej intymności. Także o przyjaźni między małżonkami, czy tak?

Wcale nie była zadowolona, że Rush znów podjął ten temat. Dlatego, skinąwszy potakująco głową, zaczęła podnosić się z krzesła. Niestety, ciężka dłoń na ramieniu zmusiła ją, żeby usiadła z powrotem.

- Zastanówmy się nad tym głębiej, panno Faraday. Intymność. Hm... Co pani przez to rozumie? Jakieś wspólne sekrety? Mieszkanie pod jednym dachem i poznanie kogoś od strony mniej pociągającej? Nagość? Funkcje cielesne? Brak prywatności?

Poziomka była dopiero w połowie drogi przez przętyk. Chloe zakrztusiła się. Rush poklepał ją po plecach, nie za mocno, ale stanowczo. I mówił dalej:

- Nie. Sądzę, że pani chodzi o coś innego. Coś, co elegancko określa się jako „łóże małżeńskie”. Czyż nie tak?

Policzki Chloe oblały się purpurą. Czowała się upokorzona, a Rush, jak gdyby nigdy nic, przytknął jej kieliszek do ust, żeby popiła i ulżyła swemu gardłu. Po czym dokończył:

- Pani lęka się tego, co małżonkowie w tym łóżu robią!

- T...tak! - przyznała z ociąganiem. - Bo i jak można coś tak intymnego, coś, co kojarzy się z uczuciem miłości, robić z człowiekiem zupełnie obcym?

- Pojmuję. Czyli pani przeszkadza przede wszystkim fakt, że narzeczony jest dla pani osobą nieznaną. Pani najpierw pragnęłaby poznać swego ewentualnego towarzysza życia i dostrzec w nim jakieś wartości?

- Tak! To znaczy... nie. Och, pan niczego nie pojmuję, panie Rush! Ja w ogóle nie chcę tych wszystkich intymności! - wyrzuciła z siebie, zanim zdołała ugryźć się w język. Dlatego też zaraz zerwała się z krzesła i zajęła gorliwie sprzątaniem ze stołu.

- Interesujące... Czyli wreszcie doszliśmy do sedna sprawy. Pani tego nie chce, bo pani się tego boi, panno Faraday?

Coś lodowatego nagle wypełniło żołądek Chloe. Kiedy przed oczyma pojawiła się jej nagle zalana łzami twarz Marianne...

- Ja... ja nie boję się tego, proszę pana. Boję się, że zostanie to na mnie wymuszone!

- Wymuszone? Dlaczego?!

Nagle wstał, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Wczoraj wieczorem niczego na pani nie wymuszałem. Pozwoliła mi się pani pocałować. I prawie naga omal nie znalazła się w moim łóżku. Dziś pani mnie objęła. Z własnej woli, nikt pani do tego nie przymuszał. Chloe...

Jego usta, miękkie i delikatne, opadły na jej wargi. Wstrzymała oddech, rozkoszując się pocałunkiem. Jej dłoń uniosła się bezwiednie, pogłaskała oszpecony policzek. Och!

Dlaczego ta słodka chwila nie może trwać wiecznie? Dlaczego nie wolno jej pozostać w tych silnych, ciepłych objęciach? I iść tam, dokąd ją te ramiona poprowadzą?

Rush oderwał usta od jej warg.

- Ale ja pojmuję, panno Faraday - powiedział lekko zdyszczanym głosem. - Na przykład to, że nie chciałaby pani być przymuszana przeze mnie. Mój odrażający wygląd...

- Nie!

Odrażający? Nigdy! Ta twarz, choć zeszpecona, i tak była piękna. Na tej twarzy wypisane były odwaga, honor i prawość. Pan Rush ze swoimi spracowanymi rękami i w znoszonym ubraniu wyglądał dumnie i uczciwie. Najbardziej przystojny londyński dandys, odziany w cienką wełnę i jedwabny brokat, nie dorasta mu do pięt!

- Pan wcale nie jest odrażający, panie Rush! W moich oczach jest pan... jest pan po prostu piękny!

Och, Boże! Ona po prostu w nim się zakochała! Jak to mogło się stać? Coś tak niewyobrażalnie niestosownego? Gdyby matka się o tym dowiedziała, wpadłaby w jeszcze większą melancholię, a ojczym zbiłby ją bez litości. Nawet George spoglądałby na nią z niesmakiem.

Ona i gajowy Rush? Nie. Żadnemu z nich nie przyniosłoby to nic dobrego.

Uciekła na strych.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Anthony przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie. Bo niby jak? On ma być piękny? Po tym wszystkim, co jej powiedział?

Wolnym krokiem podszedł do drabiny i zadarł głowę.

- Panno Faraday! Chloe! Proszę! Niechże pani zejdzie na dół. Chcę koniecznie pani coś powiedzieć!

Teraz był zdecydowany. Chloe musi poznać jego prawdziwe nazwisko. Natychmiast.

- Nie!

Słodką twarz Chloe ukazała się nad szczytem drabiny. Tylko po to, żeby go uprzedzić. Bo kiedy dotknął drabiny, zamierzając wspiąć się po niej na strych, Chloe chwyciła ją mocno i wciągnęła na górę. Kłapa zamknęła się z hukiem. Do uszu Anthony'ego dobiegł stłumiony krzyk.

- Nie! Nie chcę pana więcej słuchać! Niestety, będzie musiała. Bo czas mija nieubłaganie. Jeśli chcą w porę zjawić się w kościele parafialnym w Litchfield, najpóźniej jutro po południu trzeba ruszyć w drogę. Dlatego Chloe musi wysłuchać go teraz, inaczej sobie z tym wszystkim nie poradzi.

A czy poradzi sobie, jeśli pozna prawdę? Bóg jeden wie...

Jeszcze raz nabrał mocno powietrza w płuca.

- Chloe!

Cisza. Do diaska! Co robić? Właściwie rozwiązanie jest tylko jedno, jednak dla człowieka w kondycji takiej, jak jego, bardzo ryzykowne. Ale raz kozie śmierć...

Rozluźnił węzeł w chuście owiniętej wokół szyi i zdecydowanym krokiem ruszył do tylnych drzwi. Wyszedł na dwór i od razu skierował się do starego, rozłożystego wiązu, który rósł tuż przy ścianie domu. Kilka górnych konarów sięgało dachu.

A więc w drogę! Anthony podskoczył, chwycił się obiema rękoma za jedną z dolnych gałęzi i podciągnął. Wparł się nogami w pień, znów podciągnął i przysiadł na grubym konarze. Teraz do góry. Oszczędzając chorą nogę, ostrożnie, ale konsekwentnie zaczął posuwać się do celu. Szło jako tako, w pewnym momencie jednak but ześlizgnął się po korze i Anthony zawisł nad... wygodką. O konsekwencjach w razie upadku wolał nie myśleć. Na szczęście, udało się zażegnać niebezpieczeństwo, czyli znów podciągnąć i dotrzeć do gałęzi na wysokości okapu dachu. Teraz już tylko trzeba było przesunąć się po konarze do mansardowego okna, za którym migotało nikłe światło. W chorej nodze rwało jak diabli, wchodzenie na drzewo stanowczo jej nie służyło. Ale to nie była pora na wahania.

Gałęzie, sięgające najbliżej okapu, były niestety zbyt cienkie. Załamią się pod ciężarem rosnącego mężczyzny. Anthony musiał wspiąć się nieco wyżej, potem zeskoczyć na dach. Uczynił to z łomotem, po czym przesunął się ostrożnie do wąskiej rynny. Tam przykucnął, złapał się żelaznej krawędzi i zaczął ostrożnie posuwać się do mansardowego okna. Wiatr kołysał gałęziami wiązu. Ocierały się o włosy Anthony'ego, drapały go w twarz. Wielki Boże! Dlaczego coś, co - patrząc z dołu - wydawało się szalenie proste, okazało się tak ciężką próbą?

Poza tym, niestety, niczego nie udawało się zrobić bezszelestnie. Okno otwarło się. Zaniepokojona Chloe, odziana już w nocną koszulę, wyjrzała na zewnątrz. Na widok Anthony'ego wydała z siebie pisk, cofnęła się i energicznie zamknęła okno.

A niech to... Ale trudno. Nie po to przebył tę ciężką drogę, żeby w dalszej przeszkodziła mu głupia szyba. Jeszcze chwila i Anthony siedział już na parapecie. Za oknem nic nie było widać, tylko ciemność. Chloe zapewne zdmuchnęła świeczkę.

Jedno mocne uderzenie łokciem i szyba rozprysła się na kawałki. Anthony wsunął rękę do środka, chwycił za klamkę i otworzył okno.

- Chloe!

Cisza. Zamrugał oczami, odczekał, żeby przyzwyczyli się do ciemności.

- Niech pan stąd wyjdzie, panie Rush!

- Ale dlaczego? Co ja takiego powiedziałem? Uraziłem panią?

- Nie, nie. To... ja uraziłam pana.

Ona?! Jej słowa pamiętał doskonale. Takie słowa człowiek zapamiętuje na całe życie. Zabrzmiały szczerze i były cenniejsze od złota. Powiedziała, że on w jej oczach jest piękny. Tak powiedziała, a przecież wzrok ma bez zarzutu. Zobaczyła go i nie odkryła żadnych braków. Już tylko za to gotów jest kochać ją do końca swoich dni.

Teraz zauważył pod przeciwległą ścianą mającą w mroku postać. Podeszedł bliżej. Wspaniałe włosy Chloe były rozpuszczone, czarne loki wiły się po ramionach, połyskiwały w bladej poświacie księżyca. Wyglądała jak księżniczka z bajki - prześliczna, wiotka, prawie eteryczna, jakby za chwilę miała zniknąć.

- Pani mnie uraziła?! Ależ... Potrząsnęła czarnymi lokami i cofnęła się o krok.

- Niech pan stąd idzie.

- Nie, Chloe. Nie po to wgramoliłem się na to przekłete drzewo, żeby teraz wychodzić. Musi mnie pani wysłuchać. Musimy pewne rzeczy uzgodnić.

- My nie mamy niczego do uzgadniania, panie Rush!

Była zdeterminowana, on też. Jednym susem dopadł do niej i chwycił ją w objęcia.

- Sądzę jednak, że mamy - powiedział, spoglądając w zielone oczy, które od lat prześladowały go w snach. -



Powiedziała pani, że chce wracać do domu, chce spotkać się z narzeczonym i przekazać mu osobiście, że go pani nie poślubi. A podstawowy powód tego to fakt, że ów narzeczony jest dla pani człowiekiem całkowicie obcym. Ale co by było, Chloe, gdyby okazało się, że jest inaczej? Że on wcale nie jest dla pani obcą osobą, a pani wcale nie czuje do niego jakiejś szczególnej antypatii?

- Nie wiem! I niczego nie będę wiedzieć, póki go nie zobaczę! Och, panie Rush... - W jej oczach była rozpacz. - Ja już sama nie wiem, co mam robić! Przecież małżeństwo to... to sprawa nadzwyczaj poważna! - Z jej piersi wydarł się krótki, urywany szloch.

Anthony czuł, że serce w nim zamiera. Przekłętą kłamstwo, które narodziło się przed kilkoma dniami, okazało się zdradliwą pułapką. Miało być szansą na szczęście, a kto wie, czy nie odebrało go definitywnie. Jeśli wyjawি jej teraz prawdę, ona nigdy już mu nie zaufa, ale jeśli prawdę przemilczy, a Chloe dowie się jej od kogoś innego - znienawidzi go.

- Chloe, proszę, niech pani mnie wysłucha. Chcę powiedzieć pani o czymś, o czym pani nie wie, a to może zmienić wszystko...

- Ciii... - Wspięła się na palce i położyła palec na jego ustach. - Przecież ja już wszystko wiem, panie Rush! Dzięki panu uświadomiłam sobie, jak wielki popełniłam błąd, łudząc się, że zdołam umknąć przed kłopotami. Powinnam sama teraz wszystko naprawić. Cała ta awantura jest moim dziełem, poniosę za to wszelkie konsekwencje. Panu, panie Rush, włos z głowy nie spadnie. Pan za nic nie jest odpowiedzialny.

Nie jest odpowiedzialny<sup>1</sup>? - ! Chryste! Gdyby napisał choć jeden jedyny list, gdyby przyjechał do niej i przedstawił się! Wtedy całej tej awantury by nie było!

- Nie, Chloe, to nie tak. Jestem odpowiedzialny. Muszę to pani wyjaśnić. Jeśli pani teraz nie zechce mnie wysłuchać i odjedzie stąd, pojedę za panią. Przysięgam. Ja...

Zamilkł, bo znów go uciszyła, choć tym razem inaczej. Gwałtownie przycisnęła swoje usta do jego ust.

Do diaska! Ona powinna poznać prawdę! Ale... ale nie musi stać się to akurat teraz...

Była taka chwila, przelotna, kiedy może udałoby się uciszyć rozszalałe serce i odstąpić od Rusha. Ale ta chwila minęła błyskawicznie, prawie niezauważalnie. Usta Chloe przywarły do ust Rusha w gorącym pocałunku. Nic więcej się nie liczyło. Stosowne czy nie, gajowy czy król - ważne było tylko to, że jest to człowiek, którego pokochała. Widać tak było zapisane w gwiazdach.

Rush poderwał głowę, jego ramiona objęły Chloe jeszcze mocniej.

- Chloe! Popełnia pani kolejny błąd, jeśli sądzi pani, że teraz odejdę. Nie uczynię tego. Nie potrafię...

Chloe wydała z siebie cichutkie, drżące westchnienie i otarła się policzkiem o wykrochmalony gors koszuli.

- Tym razem nie wycofam się, panie Rush...

- Nazywam się...

- Cicho, sza... panie Rush... - Wspięła się na palce i szepnęła mu wprost do ust: - Niczego więcej nie chcę wiedzieć. Im mniej, tym lepiej, tym mniej ojczym będzie miał do wybicia mi z głowy...

- Chloe! Jak ja mogę cię kochać, kiedy ty zwracasz się do mnie wciąż per „pan”?

- Musi się pan z tym pogodzić, panie Rush. Albo niech się pan wycofa...

- Nigdy! - jęknął. Porwał ją na ręce i poniósł do łóżka. Złożył na kołdrze, po czym jednym gwałtownym ruchem ściągnął z szyi białą chustkę, odrzucił na bok. Zdjął koszulę.

Na widok jego nagiego torsu serce Chloe zabiło żywiej. Ten widok był tak samo ekscytujący, jak wtedy, kiedy zobaczyła go półnagiego w szopie.

Rush nagle znieruchomiał, sprawiał wrażenie zażenowanego. Chloe domyśliła się od razu, na czym polega jego kłopot. Ze swoją chorą nogą ma na pewno trudności ze zdejmowaniem butów. W jego sypialni stoi pachołek z drewna, czyli specjalny uchwyt. Wsuwa się weń obcas, mocno pociąga nogą i po kłopotcie. Tu nie było drewnianego pachołka, była za to Chloe, a jej zdarzyło się już ściągać wysokie buty George'owi, kiedy nadwerężył sobie ścięgno podczas gry w krykieta.

Zerwała się z łóżka i niewiele myśląc, padła przed Rushem na kolana. Jedną ręką chwyciła za obcas, drugą za czubek buta, szybkim ruchem ściągnęła but i odrzuciła na podłogę.

Kiedy złapała za drugi but, Rush położył rękę na jej ramieniu.

- Zostaw, proszę, Chloe. Sam to zrobię.

Czuł się skrępowany jej pomocą, na pewno też wstydził się swojej chromej nogi. Dlaczego?! Chloe energicznie potrząsnęła głową i pociągnęła mocno za but. Rush jęknął. Znieruchomiała, ale tylko na moment, po czym ponowiła próbę, starając się tym razem zrobić to jak najdelikatniej, z wyczuciem. Udało się. But bez przeszkód zsunął się z jego nogi, a on wcale nie jęczał, tylko spojrzał na Chloe wymownie i przytulił ją do siebie. Obsypał pocałunkami całą jej twarz. Czoło, skronie, policzki i kąciki ust. Jedną ręką głaskał ją po plecach, drugą przyciskał do siebie. Chloe czuła, że jej kolana drżą. Ze strachu? O, nie. Ona nie boi się niczego. Przecież sama tego pragnie...

Rush rozwiązał tasiemki przy koszuli, zsunął koszulę z jej ramion. Błękitny jedwab miękko opadł na podłogę. Przez

rozbite okno do pokoju wpadł powiew zimnego powietrza. Chloe zadrżała. Uniosła głowę i spojrzała na Rusha. Stał nieruchomo, jego usta rozchylone były w dziwnie łagodnym uśmiechu. Odwzajemniła ten uśmiech i pewność siebie wróciła.

Kiedy pochylił głowę i zaczął językiem pieścić płatki jej ucha, nagle straciła cierpliwość. Chwyliła za pasek jego spodni, a on bardzo głęboko nabrał powietrza.

- Chloe, zaczekaj...

Za późno. Ona już odpięła, co należało odpiąć, i zaczęła ściągać mu z wąskich bioder spodnie, razem z męską bielizną. Usiłował złapać za spodnie, były one już jednak poza zasięgiem jego ręki. No cóż... W końcu panna Faraday wychowała się na wsi, chyba nie dozna wstrząsu na widok jego nagości.

Była wstrząśnięta, ale czymś innym. Jego okaleczoną nogą. Grubą blizną na całej długości uda, od kolana po pachwinę. W połowie uda noga owinięta była bandażem, biel bandaża poznaczona była ciemnymi plamkami świeżej krwi.

- Twoja noga... - szepnęła - rana znów się otworzyła...

- Teraz nie obchodzi mnie to nic a nic, Chloe. Wziął ją na rękę, położył z powrotem na łóżku i sam wyciągnął się obok.

- Ale ja.... ja nie miałam pojęcia, że twoje rany są tak świeże. Powinnam być bardziej delikatna.

Roześmiał się i objął ją mocno.

- Ty? To ja nie powinienem teraz zapominać o delikatności.

Znów zaczął ją całować. Jego duże, gorące ciało przyłgnęło do jej ciała, i to było takie... uwodzicielskie, takie wszechogarniające! Tak bardzo, że nie była w stanie pomyśleć o czymś innym. Od wina kręciło się jej jeszcze trochę w głowie, tyle wypila, a nadal czuła pragnienie. Ale pragnęła nie wina, tylko pocałunków i pieszczot, których Rush jej nie

szczędził. Jego ręce nieustannie błądziły po jej ciele, tak samo niespożyte jak usta, którymi pieścił jej wargi, szyję, potem językiem znaczył ścieżkę wzdłuż obojczyków, do zagłębienia pod uchem. Język przesuwiał się niżej i niżej, w końcu nakreślił kółeczko wokół jej sutka, który natychmiast zmienił się w różowy kamyczek. Po plecach Chloe przebiegł rozkoszny dreszcz. A pragnienie, żeby to męskie ciało mieć jak najbliżej, aby stopić się z nim w jedną całość, nie mogło być już bardziej gorące.

Mocno objęła rękami nagi twardy tors, a nogami objęła szczupłe biodra... I wtedy to się stało. Byli już jednością, teraz czekały na nich chwile wspólnej, największej rozkoszy. Chwile, które Chloe chłonęła i skrzętnie zapisywała w swoim sercu, gdzie miały pozostać na zawsze. Najśłodsze wspomnienie, jedyna pociecha w tych zimnych, niedobrych dniach, jakie nastąpią po jej powrocie do Litchfield...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Anthony skrzywił się, czując na powiekach żar słonecznych promieni. Odwrócił się na brzuch i wyciągnął rękę. Palce wyczuły tylko zmięte prześcieradło. Czyli Chloe albo poszła do wygodki, albo szykuje śniadanie.

Chloe, jego Chloe... Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Leżał z otwartymi oczami, co chwila popatrując na Chloe, pogrążoną we śnie. Snuł plany na przyszłość. Był pewien, że pokochał ją już wtedy, przed dwoma laty. Ale tamto zauroczenie było tylko nędzną namiastką uczucia, które teraz wręcz rozsadzało jego serce. Chloe stała się dla niego wszystkim, jedynym powodem, dla którego warto żyć. Nie był naiwnym młokosem, doświadczenia mu nie brakowało. Żadna jednak kobieta nie zawładnęła jego sercem tak, jak czarnowłosa, zielonooka Chloe.

Teraz poznał już wszystkie jej lęki. Jak wielką miała w sobie odwagę, sprzeciwiając się swojemu ojczymowi! Ślady po pobiciu na gładkich, kremowych plecach mówiły same za siebie. Anthony wiedział już, dlaczego Chloe tak niechętnie odnosiła się do małżeństwa. Boi się panicznie, że nieznanymi narzeczony po ślubie będzie traktował ją z równym okrucieństwem...

A Hubbard już jej nie tknie. Niezależnie od tego, jaką przyszłość wybierze sobie Chloe, on dopilnuje, żeby ojczym nie znęcał się już więcej nad swoją pasierbicą.

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, spuścił na podłogę i wstał. Owinął sobie biodra zmiętym prześcieradłem. Na ubrania, rozrzucone w nieładzie po podłodze, spojrzął niemal z rozczuleniem. Taki miły, swojski widok...

Przez rozbitą szybę do pokoju wpadało chłodne powietrze. Trzeba zrobić coś z tą szybą. A potem wsadzić Chloe do powozu i kazać zawieźć do Litchfield. Pojechać do swojego domu, spakować sakwojaż, zabrać ojca. A jutro...

Nagle dojrzał na sekretarzyku złożoną kartkę, na której ktoś nakreślił jego nazwisko. Naturalnie - Rush. Serce zabiło niespokojnie. Sięgnął po kartkę i rozłożył. Niewiele było na niej napisane. Kilka linijek, pismo bardzo staranne.

Spojrzał od razu na podpis:

„Z wielkim żalem - panna Chloe Faraday”.

Przysiadł ciężko w wyściełanym krześle i zaczął czytać, przyszykowany już w duchu na najgorsze.

„Mój drogi panie Rush!

Proszę wybaczyć, że opuszczam pana w taki sposób, ale pożegnanie z panem byłoby dla mnie chwilą nadzwyczaj ciężką. Bardzo będzie mi brakować naszych sporów, a przede wszystkim naszej przyjaźni. Dzięki panu uświadomiłam sobie, jakim jestem tchórzem, uciekając przed kłopotami. Teraz - dzięki panu - gotowa jestem stawić im czoła, ale, niestety, wiąże się to z tym, że muszę pana opuścić.

Z wielkim żalem - panna Chloe Faraday”.

Z wielkim żalem... Na Boga! Po tym wszystkim, co ich łączyło, po prostu poszła sobie! Tak mało dla niej znaczyło Nawet jeśli tak jest, on nie zrezygnuje. Pojedzie za Chloe, sprowadzi ją tu z powrotem i tym razem Chloe wysłucha go do końca. Dowie się, jakie jest jego prawdziwe nazwisko. I rzecz całą doprowadzą do końca.

Klnąc na siebie w duchu za to, że - dureń - pokazał jej ścieżkę wiodącą na południe, zszedł po drabinie, starając się nie zważać na przejmujący ból w udzie. Nie szkodzi, przecież ta rana kiedyś się zagoi. Teraz najważniejsze, to uładzić wszystko z Chloe.

Chloe, nadal czując wielkie znużenie po długiej jeździe powozem do Litchfield, stała przed toaletką. W lustrze przed sobą widziała mizerną, smutną twarz. Sińce pod oczami i policzki kredowobiałe, bez śladu rumieńców. Za nią stała matka i przeplatała czarne włosy Chloe sznurem pereł. Matka,

jak zawsze, bardziej przypominała posąg z marmuru niż żywego człowieka.

- Szkoda zachodu, mamó. Ja i tak nie wyjdę za tego człowieka.

- Obawiam się, Chloe, że nie ma innego wyjścia. Pan Hubbard nalega.

Pan Hubbard. Papa Charles. Ojczym. Matka zawsze mówiła o tym człowieku jak o kimś obcym. A przecież to jej mąż od tylu lat i łączy ich pożycie intymne.

Chloe natychmiast pomyślała o tym, co połączyło ją z Rushem. Nie, to było zbyt bolesne! Od razu chciało jej się płakać. Teraz też, dlatego, żeby powstrzymać łzy, zmarszczyła nos.

- Proszę, nie płacz - powiedziała matka, kładąc jej ręce na ramionach. - Będziesz miała zapuchnięte oczy!

- Ale ja... ja powinnam zobaczyć się z panem... z sir Anthonyem Chandlerem przed ceremonią.

- Pan Hubbard zabronił. Boi się, że obrazisz sir Chandlera albo nawet zwrócisz mu słowo. To prawdziwy cud, że po tym nieszczęsnym porwaniu sir Anthony nadal chce pojąć cię za żonę. A on jest prawdopodobnie twoją ostatnią szansą na uczciwe życie i własny dom. Proszę, moja droga, bądź rozsądna.

Własny dom, własna rodzina... Jedyne szansa, żeby uwolnić się od papy Charlesa...

Zobaczyła w lustrze, jak matka unosi nad jej głowę piękną suknię w kolorze kości słoniowej ze stanikiem z cienkiej koronki. Posłusznie nałożyła suknię, matka zapięła perłowe guziczki na plecach.

I dalej stała nieruchomo, zapatrzona w swoją bladą, wystraszoną twarz. Resztką sił powstrzymywała łzy, kiedy matka przypinała jej do włosów mały welon z koronki.

- Chciałabym porozmawiać z Georgem...



- George jest w zajeździe, Chloe. Razem z sir Anthonym. Wróci tu, aby towarzyszyć ci w drodze do kościoła.

Spojrzała na zegar ustawiony na toalecie. Za niecałą godzinę proboszcz będzie czekał już przy ołtarzu. Tak samo jak sir Anthony Chandler! Boże wielki! Czyli będzie musiała zwrócić mu słowo, stojąc już przed ołtarzem!

Sir Anthony Chandler podszedł do lustra i starannie wygładził brzegi kołnierzyka śnieżnobiałej koszuli. W lustrze, oprócz siebie, widział również swego przyjaciela, George'a Faradaya.

- Pytasz, co wydarzyło się w tym domku, George? Sam chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Na początku nie było gładko, ale po pewnym czasie twoja siostra i ja doszliśmy do porozumienia, nawet... zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Tak. Tak można to określić. Twoja siostra zaufała mi do tego stopnia, że wyznała mi, jaka jest główna przyczyna jej niechęci do małżeństwa. Niestety, dziś rano odeszła. Bez pożegnania, zostawiła tylko krótki list, kilka słów za ledwie. Napisała, że będzie jej brakowało naszej przyjaźni. To wszystko.

- Będzie jej brakowało? Przecież ona od chwili, gdy przekroczyła próg domu, nie przestała pomstować na ciebie!

- Pomstowała nie na mnie, tylko na Chandlera! Gdyby narzekała na gajowego, to co innego. Niestety, nie miałem sposobności wyjawić jej mego prawdziwego nazwiska. Jest przekonana, że nazywam się Rush.

Anthony westchnął z rezygnacją i powoli zaczął nakładać granatowy frak.

- Nie wiem, czy jest w ogóle sens iść do tego kościoła - mruknął.

- Niestety, Tony, nie potrafię przewidzieć, co Chloe zrobi przed ołtarzem. Jednego tylko jestem pewien. Zjawi się tam, już ojczym tego dopilnuje.

- No cóż... Nie mogę dopuścić, żeby stała przed ołtarzem sama. Nawet jeśli przyjdzie tam tylko po to, żeby zwrócić mi słowo. Powiedz mi, George, czy nie mógłbym zamienić z nią kilku słów na osobności przed ceremonią? Na przykład w zakrystii?

- Obawiam się, że to niemożliwe. - George spojrzął w okno, za którym w oddali widać było kościół. - Drzwi są już otwarte, kościelny zamiata schody. Za późno, Anthony.

- Przykro być odtrąconym, a podwójnie przykro, jeśli stanie się to przy świadkach. Na szczęście, nie sproszone dużo gości. Ale trudno, niczego nie żałuję. Miałeś rację, George, gra była warta świeczki. Ale cóż... - Anthony pochylił się i wziął z łóżka kwadratowe, sporej wielkości pudełko. - George? Czy mógłbyś przekazać to Chloe?

Kiedy powóz zbliżał się do kościoła, Chloe jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Och, George! Dlaczego tak się stało? Chciałam jak najlepiej, a wyszło jak najgorzej!

- Niestety, tak już jest, kociątko. Bogowie nigdy nie pozwalają, aby to, co najlepsze, przyszło nam łatwo.

- Mnie nic nigdy łatwo nie przychodzi! A odkąd ten przeklęty człowiek wrócił z Półwyspu, wiedzie mi się jak najgorzej! George! Ty widziałeś się z nim przed chwilą. Co mówił?

- Nie może się doczekać, kiedy będzie mógł zabrać cię stąd do swojego domu. A tam cała służba czeka na swoją nową panią.

Chloe wydała z siebie następny, pełen rozpaczyny jęk.

- Powiedziałeś mu prawdę o tym ukartowanym porwaniu?

- Nie. A po co?

- Nie powiedziałaś?! George! Czyli on nie wie, do czego byłam zdolna, żeby uniknąć tego małżeństwa?

- Po co miałem mu to mówić? Przecież wróciłaś, Chloe. A właśnie... Dlaczego wróciłaś tak wcześnie? Miałaś pojawić się dopiero wtedy, kiedy minie dzień ślubu.

- Dlaczego? Och, George! Ten gajowy, pan Rush, którego wynająłeś... okazał się człowiekiem po prostu niezwykłym! Był na wojnie, odniósł ciężkie rany. Walczył w okopach, podczas gdy tacy ludzie jak sir Anthony dyrygowali wszystkim z bezpiecznej odległości. A pan Rush jest człowiekiem prawym i odważnym. Prawie codziennie zadawał mi mnóstwo pytań. Wtedy uzmysłowiłam sobie, jakim jestem tchórzem. A kiedy pan Rush opowiedział mi, co robił na wojnie, jak ryzykował życiem dla towarzyszy broni... Ach! Wtedy poczułam, że ja także chciałabym wykazać się męstwem. Bo niezależnie od tego, jakiego rodzaju łajdakiem jest sir Anthony Chandler, zasłużył sobie, żeby być odtraconym przed ołtarzem. Bez zbędnych wyjaśnień.

George zaśmiał się.

- Czy jesteś o tym całkowicie przekonana, kociątko?

- Nie - wyznała szczerze Chloe. - Bo z drugiej strony, mimo porwania, jest na tyle uprzejmy, że nadal chce się ze mną ożenić. Ale zrozum, George, ja nie chcę wychodzić za niego. Ale też nie chcę go upokorzyć!

- Hm... No tak... A powiedz mi, Chloe, czy ten gajowy przypadkiem ci się nie spodobał?

Policzki Chloe zakwitły szkarłatem. A to mówiło samo za siebie.

- Dlaczego więc wróciłaś? Mogłaś przecież z nim zostać!

- Och, George! Mówisz tak, jakbyś nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji!

Dla matki wstyd, dla George'a hańba, hańbą okryłby się nawet ojczym. Gdyby Chloe poszła za głosem swego serca, socjeta potępiłaby jej rodzinę, tak samo jak ją samą. Za to, że najbliżsi nie potrafili nią odpowiednio pokierować.

Czy ona mogła im coś takiego zrobić? Nie. A poza tym, szczerze mówiąc, pan Rush wcale nie prosił, żeby została. Nie wspomniał ani słowem o miłości do grobowej deski. Powiedział tylko, że jeśli ona odejdzie, on pojedzie za nią. Ona wróciła do domu, a on wcale za nią nie przyjechał. Wróciła tu sama, tylko ze swoją determinacją.

George odwrócił się i poniósł z ławki jakieś pudełko.

- Proszę. To od Chandlera.

- Od niego?! Nie! Nie powinnam przyjmować od niego żadnych prezentów. Przecież mam zamiar zwrócić mu słowo i  
- Na litość boską, kociątko! Zobacz przynajmniej, co tam jest w środku!

Chloe podniosła wieko i krzyknęła cicho. W pudełku, wyścielonym białą bibułą, leżał bukiet z jasnoliliowych kwiatów bzu. Łodyżki owinięte były białą wstążką.

Z piersi Chloe wydarł się krótki szloch.

- Och! Ten człowiek jest tak irytujący! Jeśli on spodziewa się, że go polubię, to się grubo myli!

- Przecież to tylko bez, Chloe..

Tylko bez? Och, gdyby George wiedział...

- Przecież ja kocham bez, George! Nie wiem, jak sir Chandler o tym się dowiedział, a może to tylko przypadek, że wybrał właśnie bez i za pomocą tego drobnego gestu próbuje wkraść się do mojego serca. Ale na to jest już za późno!

George oparł się wygodniej i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w siostrę z wielką uwagą.

- A może i masz rację, kociątko. Ten łajdak zasługuje na odprawę przed ołtarzem. Potem wynajmiemy powóz, pojedziemy do Glasgow i poszukamy statku, który płynie do Kanady. Nigdy nas nie znajdą. Co ty na to?

Chloe nie zdążyła się nawet uśmiechnąć. Powóz zatrzymał się już przed kościołem.

George wyskoczył pierwszy, pomógł wsiąść siostrze. Uśmiechnął się, pocałował ją w policzek i wcisnął jej do ręki bukiet pachnącego bzu.

- Nie martw się, Chloe. Niebawem będzie po wszystkim. Za kilka minut ostatecznie zadecydujesz o swojej przyszłości. W taki czy inny sposób.

Tak. Chloe stanie przy ołtarzu tylko po to, żeby zwrócić słowo sir Chandlerowi. To będzie straszna chwila. Mama i papa Charles poczują się znieważeni, ojciec sir Anthony'ego wpadnie w złość. Ale sam sir Anthony nie powinien być ani zagniewany, ani zraniony. Powinien wiedzieć, że na to sobie zasłużył!

„Kapitan Chandler? Ach, tak, pamiętam go. Prezentował się bardzo miło”...

Gdyby mogła cofnąć te słowa! Niestety, to niemożliwe. Teraz może tylko wypowiedzieć inne słowa: Bardzo mi przykro, sir Anthony, ale nie mogę wyjść za pana.

Wypowie je. A potem poniesie wszelkie konsekwencje.

George podał ramię siostrze i poprowadził po schodach do szerokich, dwuskrzydłowych drzwi, otwartych zachęcająco. Kiedy wkroczyli do kruchty, serce Chloe zabiło jak oszalałe. Spojrzała na brata, szukając u niego otuchy. On uśmiechnął się, dziwnie rozpogodzony i pogłaskał ją czule po rękę.

Kiedy kroczyli główną nawą, Chloe dostrzegła przy ołtarzu kilka osób, zajętych cichą rozmową. Proboszcz, matka i ojczym, przyjechała też Marianne ze swoim mężem. Stało tam jeszcze dwóch mężczyzn, górujących nad innymi wzrostem. Zwróceni byli twarzami do proboszcza, ale kiedy rozmowa ucichła, odwrócili się powoli i spojrzeli na Chloe.

Zachwiała się. George mocniej chwycił ją za łokieć i dalej wolnym krokiem prowadził do ołtarza. Szła, ale nie mogła złapać tchu. W głowie szum. Boże! Ta blizna, przecinająca piękną, najdroższą jej twarz, była dla niej najbardziej

upragnionym znakiem. Jakże mogła kiedykolwiek pomyśleć, że tej blizny można się bać? A te oczy... te oczy, kiedy spojrzały na nią, powiedziały wszystko.

Przyjechałem za tobą.

Nagle olśniło ją. Przyjechał. Więc on jest... Nie! To niemożliwe! Jej narzeczony i jej rodzony brat wyprowadzili ją w pole!

- George... - syknęła. - Zapłacisz mi za to, ty i sir Anthony...

Brat uśmiechnął się szeroko.

- To był jedyny sposób, żeby przekonać cię do tego małżeństwa - szepnął. - Doszliśmy do wniosku, że warto zaryzykować. I co zamierzasz teraz zrobić, Chloe?

Przypomniała sobie, jak sir Anthony wielokrotnie próbował jej powiedzieć, kim jest naprawdę. Przypomniała sobie też te wszystkie niemiłe rzeczy, które powiedziała mu prosto w twarz. Jeśli ona wyjdzie za niego - co do tego nie było żadnej wątpliwości - on odpłaci jej się za to. Ma na to całe życie...

Nie. Przecież zdążyła już się przekonać, jakim człowiekiem jest Anthony Chandler. Jest bohaterem, człowiekiem, który narażał swoje życie dla ludzi sobie obcych. Człowiekiem, który doświadczył na sobie największych okropności w imię obrony cywilizowanego świata przed tyranią i agresją. I był to człowiek, który rwał dla niej bez, znosił jej humory z godnością, wdrapał się na wysokie drzewo, żeby z nią porozmawiać. I kochał ją do tego stopnia, że zdecydował się zaryzykować wszystko, byle tylko ją zdobyć.

Stanęli przed ołtarzem. Sir Anthony podszedł, uśmiechnął się i ucałował jej dłoń.

- Proszę wybaczyć, panno Faraday, że dopiero teraz mogę przedstawić się pani. Jestem sir Anthony Chandler. Kocham panią od lat.

Objął dłońmi jej twarz i kciukami starł łzy z jej policzków.

- Czy wyjdzie pani za mnie, panno Faraday? Milczała, roztapiając się w jego spojrzeniu.

Pełna tęsknoty za jego czułymi dłońmi, oszołomiona tymi cudownymi słowami, które przed chwilą wypowiedział. Kocha ją. Ona też go kocha, oczywiście! I jakież ten los jest przewrotny. Ona przecież w swoim misternym planie zakładała, że nigdy nie zobaczy swojego narzeczonego. Całkiem obcego człowieka...

- Sir Anthony Chandlerze! Czy panu nie przyszło do głowy, że biorąc mnie za żonę, będzie pan ponosił konsekwencje do końca swoich dni? Za to, coś mi pan uczynił?

- Gotów jestem zaryzykować, łaskawa pani.

- W takim razie... tak. Och, Anthony, mój najdroższy! Oczywiście, że zostanę twoją żoną!